ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 23/102 — Londyn, dnia 5 czerwca 1949 — CENA 9 d.

WYJAŚNIENIE

Z powodu niezbędnych zmian technicznych, które musiała przeprowadzić nasza Drukarnia, a które trwały parę dni, dobór materiałów w dzisiejszym numerze jest inny od planowanego, za co przepraszamy naszych Czytelników. Redakcja bowiem musiała wykorzystać artykuły już złożone. Z tego też powodu dopiero w następnym numerze ukażą się artykuły, które miały być umieszczone w numerze dzisiejszym, a mianowicie: szkic Ojca Prof. I. M. BOCHEŃSKIEGO p. t. „Ojciec Jacek Woroniecki", DANIEL-ROPSA „Zesłanie Ducha", A. KRAKOWIECKIEGO „Najcenniejsza subwencja" i dokończenie art. J. TOKARSKIEGO „Maria wraca do Anglii".

JAN TOKARSKI

DAR ZIELONYCH ŚWIĄT

BÓG poznając Siebie, Swą nieskończoną naturę rodzi jako Swój Wyraz najdoskonalszy —Słowo współistotne, równe choć różne od Siebie, które jest Synem Bożym. Nieskończona miłość Ojca i Syna, zachwyt Ojca i Syna, rodzi Boga Miłość, Ducha Swiętego, trzecią Osobę Boską, koronę niezgłębionego życia wewnętrznego Trójcy św. Tej Miłości Niestworzonej wszystkie dzieła zewnętrzne Stwórcy zawdzięczają początek, uporządkowanie, ład i doskonałość. Świat stworzony z miłości uporządkował Duch Święty, Duch Stworzyciel — Creator Spiritus. Jego owocem jest piękno bytów, ich moc, ich możność doskonalenia się, jego owocem jest miłość, radość, pokój, czystość . . .

Jak koroną życia wewnętrznego Trójcy Świętej jest Duch Swięty, tak koroną zewnętrznej działalności Trójcy jest Wcielenie Syna „który począł się z Ducha Swiętego". Nieskończoną godność natury ludzkiej, wyniesioną przez Wcielenie do udziału w życiu Trójcy; nasze dziecięctwo Boże, nasze przybranie za synów Bożych; nasze podobieństwo Bogu: zawdzięczamy Duchowi Swiętemu. Z Jego Zesłania, wysłużonego przez Syna jako dar Zielonych Swiąt, z Jego iskry, z Jego darów i owoców żyje Kościół i my z nim: „Nikt nie może rzec: Jezus jest Panem, jeno w Duchu Świętym" (I Kor. 12.3). Nadaje skuteczność modlitwom, jest Ojcem męstwa, świętości, postępu, doskonałości. Wieczyście odnawia oblicze ziemi.

Jest wewnętrznym życiem Kościoła.

★

W Kościele jak w sakramentach, musimy rozróżniać dwie strony: widzialną i niewidzialną. Niewidzialną jest duchowa nadprzyrodzona społeczność, której Głową jest Chrystus, duszą i życiem jest Duch Święty, a członkami wszyscy ochrzczeni na ziemi, dusze w czyśccu i dusze zbawione w niebie: *Ciało Mistyczne Chrystusa.* Ten duchowy nadprzyrodzony organizm jest tak doskonale w porządku nadnatury spojony i zjednoczony Duchem Swiętym, że co dzieje się z jednym członkiem, natychmiast odczuwają wszystkie: choroba jednego jest bólem wszystkich, chwała jednego chwałą wszystkich, zniewaga jednego, zniewagą Całości.

Celem Chrystusa, jak to wyraził św. Tomasz, było „przywrócić człowiekowi rzeczy niewidzialne drogą rządu widzialnego". Dlatego też utworzył w i d z i a l n ą, d o c z e s n ą stronę Swego Ciała Mistycznego. Jest nią Kościół rzymsko-katolicki tak, jak go widzimy w każdej chwili dziejów. Ta doczesna i widzialna strona Ciała Mistycznego, jedna i niepodzielna, zespolona hierarchicznie — w Kościele powszechnym przez Papieża, w diecezjach przez Biskupów — wyposażona w życiodajne organa, składająca się z wyraźnie określonych członków, nie wykluczająca grzeszników, jest instytucją Bosko-ludzką, prowadzącą dalej, aż do wypełnienia czasów dzieło Odkupienia na ziemi. Celem jej jest zbawienie ludzi, konieczne warunki zbawienia podaje w przykazaniach, sakramenta zaś, którymi dysponuje, dają środki nadprzyrodzone wystarczające do spełnienia przykazań przez wszystkich członków.

Sentymentaliści chcieliby sprowadzić Kościół do roli fikcyjnego tworu czysto „duchowego", do roli jakiejś nakreślonej społeczności, połączonej przez „miłość". Inni zaś popełniają błąd przeciwny: widzą w Kościele tylko instytucję, bardzo sprężystą organizację, czysto lub przede wszystkim ludzką, posiadającą określony rygor, rząd i zewnętrzne obrzędy. Lecz podobnie jak Chrystus nie byłby prawdziwie całym Sobą, gdyby wskazywać tylko na Jego niewidzialną naturę Boską lub tylko na widzialną naturę ludzką — gdyż jest jednym „z obu i w obu naturach" Bogiem-Człowiekiem — tak jest i z Kościołem: Jest jeden — widzialny i niewidzialny. „Nie może zachodzić żadna rzeczywista niezgodność między niewidzialnym tak zwanym posłanicm Ducha Świętego, a funkcją prawną, jaką otrzymują Papieże i nauczyciele od Chrystusa, gdyż oba te czynniki podobnie jak w nas duch i ciało — wzajemnie się uzupełniają i wydoskonalają i oba pochodzą od jednego i tego samego Zbawcy naszego, który powiedział do Apostołów tchnąc na nich Ducha swego nie tylko: ‚Weźcie Ducha Świętego' ale zupełnie wyraźnie dodał również: ‚Jako mnie posłał Ojciec i ja was posyłam'; a także: ‚kto was słucha, mnie słucha' ". (Pius XII, Encyklika o Kościele).

*

Kościół począł się z nauczania Jezusowego. Fundament Jego został położony na polach pod Cezareą Filipa. Budowy dokonał Jezus na krzyżu: z przebitego boku Zbawiciela wyłonił się jego gmach. Po raz pierwszy okazał się ludziom w dzień Zesłania Ducha Świętego.

Kościół, Młyn Boży, był więc już ustawiony. W Pięćdziesiątnicę zatoczył skrzydłami. Skrzydła nabrały wichru (Spiritus — to Tchnienie, Dech, Wiatr, Duch) — i ruszyły, a od pierwszych obrotów ziarna ludzkie zaczęły się przerabiać na Bożą mąkę.

Odnowione zostało oblicze ziemi. Trzy lata nauczania i cudów Chrystusa zostawiły zaledwie garstkę wiernych, może pół tysiąca. Albowiem dopiero męką i śmiercią Swoją przygotował żniwo, które zbiorą Apostołowie i Kościół Jego. Teraz, gdy powstał Piotr z jedenastoma i "podniósł głos swój" — a nie były to bynajmniej miłe słowa, które usłyszeli słuchacze, nie zostawił im bowiem wątpliwości, że mówi do bogobójców i narodu przewrotnego — od jego pierwszego papieskiego kazania nawraca się trzy tysiące Żydów. Po uleczeniu chromego od urodzenia znów pięć tysięcy przyłącza się do wierzących.

Gdy Bóg przyszedł na świat, anioł zwiastuje jego przyjście nic nie wiedzącej ziemi Nocą, nad pustymi pastwiskami Judei głos jego zwiastuje Chrystusa pasterzom. Po dwu latach może, przybywają mędrcy; w okolicach Betlejem następuje akcja Heroda. A potem, przez niemal 30 lat, dwie, może trzy osoby pamiętają "w sercu swym" o przedziwnych wydarzeniach. Świat toczy się własnym torem.

Kiedy duchowy gmach Kościoła wyłaniał się w "czasie snu Zbawcy na krzyżu" dzieją się "cuda na niebie w górze i dziwy na dole, na ziemi krew i ogień i kłęby dymu. Słońce zmienia się w ciemność a księżyc w krew" (proroctwo Joela), trzęsienie ziemi otwiera groby, umarli powstają z martwych, a poganin daje świadectwo boskości Chrystusowi, którego opuścili właśni uczniowie. — Świat przestaje iść swoim torem. Krzyż splótł go z niebem. Nad chaosem nowej genezis unosił się znowu Duch Jezusowy, Miłość Ojca i Syna.

W niedzielę Zielonych Świąt rano, o godzinie dziewiątej, już nie gdzieś na pustkowiu lecz w ogromnym mieście, nie wobec kilku pasterzy lecz wobec przedstawicieli wszystkich kultur Wschodu i Morza Śródziemnego, zaczyna żyć drugi Chrystus, Chrystus mistyczny, Chrystus cały — C h r i s t u s t o t u s: Kościół. Kościół, nowa wiosna ziemi.

Gwałtowny wicher narodzin, który napełnił wieczernik, unosi się odtąd nad światem, porywa, co zeschłe, odrzuca, co zgniłe, ale wzmacnia, co słabnie, zrasza co zsycha. Jednoczy, skupia, zgromadza, lecz także rozdziela, rozrywa, rozłącza. Przynosi pokój, ale i miecz. Jest miejscem spotkania, ale też ostrą linią podziału. Porywa w niebo i strąca do piekieł. Przynosi zbawienie i obietnicę "dla wszystkich, którzy są daleko", ale jest także sądem i wyrokiem. "A wyrok na tym polega, że światłość przyszła na świat, ale ludzie bardziej umiłowali ciemności niż światłość bo były złe ich uczynki. Każdy bowiem kto źle czyni, nienawidzi światłości i nie zbliża się do światła, aby nie zganiono uczynków jego". (Jan 3, 19 — 20).

W majestatycznym rozdziale końcowym swego znakomitego dzieła „Vita di Gesú Cristo" (str. 773 i n.) pisze Giuseppe Ricciotti: (przytaczam z pewnymi skrótami):

Jezus, Głowa Kościoła, jest najwznioślejszym paradoksem, jaki zna historia.

Działalność Jego polega na głoszeniu nauki, która nie jest ani filozoficzną ani polityczną lecz wyłącznie religijną i moralną. Co więcej, jest to nauka jak najbardziej niezgodna z tym, co kiedykolwiek twierdzono na świecie! Wprost mogłoby się wydawać, że została ułożona z tego co świat i filozofie wszystkich czasów jak najdalej odrzucają od siebie. Co dla świata jest złe, Jezus uznaje za dobro, co świat uznaje za dobre, dla Jezusa jest złem. Ubóstwo, pokora, poddanie, znoszenie w milczeniu niesprawiedliwości, chowanie się w cieniu, by zrobić miejsce innym, oto najwyższe dobro dla Niego; na odwrót: bogactwa, panowanie nad drugimi, wszystko to, co świat uważa za szczęście, ze stanowiska Jezusa jest szkodą, a co najmniej najwyższym niebezpieczeństwem: Jezus jest zaprzeczeniem świata.

Świat dostrzega tylko, to co rzuca się w oczy: natomiast Jezus twierdzi, że widzi także to, co się w oczy nie rzuca. Świat widzi wyłącznie ziemię i to z dołu, z niskości, Jezus zaś dostrzega przede wszystkim niebo, a na ziemię spogląda z nieba. Dla Niego sama ziemia nie ma sensu, jest bolesnym i przejściowym epizodem, który sam w sobie nie zawiera rozwiązania zrównanego, adekwatnego. Dla Niego ziemia zyskuje pełne rozwiązanie w niebie. I tylko z nieba nabiera sensu.

Pomiędzy dwoma królestwami — świata i Boga toczy się walka nie ubłagana, która nie ustanie tak długo, aż jedno pokona drugie. Siłą obydwu jest miłość, skierowana do dwu różnych przedmiotów. Poddani królestwa świata miłują tylko siebie oraz to, co jedynie im tylko jest użyteczne i przyjemne. Dla wszelkich innych bytów na ziemi i niebie żywią albo nienawiść albo zimną pogardę. Poddani królestwa Bożego kochają najpierw Boga, a potem, wśród długiej hierarchii istot, szczególną miłość żywią względem ludzi szkodliwych, złych i nieużytecznych, starają się czynić dobrze tym, którzy postępują źle lub którzy nie umieją postępować dobrze; dla nich dawać znaczy zyskiwać, dlatego nie znają nienawiści, która jest skąpstwem w najwyższej potędze. Chorążym tego właś n

Św. ROBERT

PRZYDZI ŚWIĘTY DUSZE!

Przydzi Dusze święty k'nam,
Zeszli nam niebieski
Promień swej światłości,
Przydzi Otcze ubogich
Przydzi dawca darów,
Przydzi świeca serc.

O nalepszy ucieszycielu,
Słodki gościu naszej dusze,
Słodkie ochłodzenie,
W robocie odpoczynienie
Płaczu uwiesielenie.

O Światłości nabłogosławieńsza,
Napełń wnętrzności serdeczne
Twych wiernych sług.

Zgrzej, coć zimne,
Twierdzi coć błędne,
Pochyl, coć pyszne.

Daj Twym miłym twoję miłość, wierzącym
Siedmiorę światłość.
Daj wyszcie zbawionych,
A po tym żywocie
Daj nam wieczne wiesiele
I wieczną radość. Amen.

(Jest to sekwencja ze mszy św. Zielonoświątkowej Veni-Sancte Spiritus, w swobodnym przekładzie staropolskim z XV wieku).

królestwa, którego siłą jest miłość Boga, jest Jezus.

Przyszedł bezpośrednio do narodu wybranego, lecz kiedy dawne obietnice Boga wypełniły się, owoce jego posłannictwa przeszły na wszystkie ludy ziemi.

W tym celu założył społeczność stałą — Kościół...

Jak kiedyś za swego ziemskiego życia był antytetzą świata, tak żyjąc tu dalej mistycznie jako Kościół, jest zaprzeczeniem świata w sposób jeszcze bardziej nieprawdopodobny. Kościół bardziej niż kiedyś w historii staje się „znakiem sprzeciwu". Jego paradoksalną i niezmiernie uciążliwą naukę tysiące i tysiące ludzi przyjmuje i praktykuje w bezgranicznej miłości aż do krańcowej ofiary; tysiące i tysiące innych odpycha ją z niezmożonym uporem i najwyższym wstrętem. Można by wręcz powiedzieć, że wokół tego „znaku, któremu sprzeciwiać się bedą", koncentrują się wysiłki najświetniejszej części rodzaju ludzkiego: jednych, by znak ten wywyższyć, drugich, by go podeptać.

Lecz Jezus tak jak i Jego Kościół jest największym paradoksem, jaki zna świat: Oto kiedy nigdy może w dziejach nie budził tyle nienawiści co dziś, nigdy w dziejach nie był bardziej żywy, jak dziś. Jest potrzebą dla wszystkich, dla jednych jako miłość, dla drugich jako nienawiść. Nie brakło ludzi w dziejach, którzy umieli wybudzić miłość. Był miłowany Sokrates przez uczniów, Juliusz Cezar przez legionistów, Napoleon przez swych żołnierzy.

Dziś już żadne serce nie bije dla nich, nikt nie oddałby za nich nie tylko życia, ale nawet majątku, chociaż niektórzy bronią jeszcze tej czy innej idei, jaką kiedyś głosili. A gdyby idee ich były zwalczane, w niczyjej głowie nie powstałaby myśl, aby bluźnić Sokratesowi, Cezarowi, Napoleonowi: jako ludzie, jako osoby minęli bezpowrotnie. - Jezus — nie! Jezusa do dziś ludzie albo miłują albo Mu bluźnią. I dziś jeszcze ludzie tracą dla Niego wszystko co mają, życie nawet: z miłości lub z nienawiści.

Albowiem nikt z żyjących nie jest tak żywy jak On i Kościół jego: — „Chrystus nauczający Chrystusa", żyjący mocą Ducha Świętego..

Jan Tokarski

STANISŁAW SOPICKI

JESZCZE O KATOLIKACH NIEMIECKICH

POLEMICZNY artykuł p. J. Białasiewicza, drukowany na łamach ŻYCIA z dnia 8 maja zawiera szereg interesujących szczegółów i świadczy, że autor uważnie śledzi wydarzenia w Niemczech. Sądzę jednak, że nie potrzebuję cofać tez, które w marcu postawiłem.

Nie będę się wdawał w dyskusję, czy blok CDU/CSU może uchodzić za „wyraz politycznych dążeń niemieckiego katolicyzmu" i nie chcę rozpatrywać zawiłej kwestii, kiedy i jakie stronnictwo może uchodzić za katolickie. Wymieniłem kilku katolików, którzy odgrywają ogromną rolę. Gdy niedawno Bevin bawił w zachodnich Niemczech, prasa wymieniła 3 polityków, z którymi przeprowadzał „interesujące" /jak się wyraził/ rozmowy. Dwaj z nich, Adenauer i Arnold, to katolicy, trzeci, Schumacher — socjaldemokrata.

P. Białasiewicz jest skłonny do lekceważenia wzrostu sympatii dla Niemiec na Zachodzie. Cytując bowiem moje słowa o przełamywaniu „nastrojów niechęci" i wrogości w państwach anglosaskich i Francji, p. Białasiewicz zauważa:

„nie sądzę jednak, aby opinia Sopickiego była słuszna".

A ja sądzę, że każdy miesiąc przynosi wydarzenia, potwierdzające mą tezę. Podróże pp. Attleego, Morrisona, Bevina do zachodnich Niemiec, ich konferencje z przywódcami niemieckimi, częste spotkania fracuskiego ministra spraw zagranicznych, R. Schumana z politykami niemieckimi — to wszystko świadczy, że znaczenie Niemiec rośnie.

Po pierwszej wojnie światowej część zwycięzców zabrała się do dźwigania Niemiec z upadku, powodując się jużto czysto ludzkim współczuciem, jużto względami gospodarczymi. Po drugiej wojnie światowej oburzenie na Niemców było niezwykle silne, ale wyrosło niebezpieczeństwo sowieckie, więc uznano za konieczne pozyskać sobie Niemców. W rezultacie jak po pierwszej wojnie światowej, tak i po drugiej Niemcy dźwigają się stosunkowo szybko.

Nastroje narodów zmieniają się dość prędko. W maju 1941 r. można było w Anglii ostro potępiać Sowiety, np. z racji napadu na Finlandię i państwa bałtyckie. W maju 1945 r. krytyka polityki Kremla budziła niesmak lub oburzenie. My, Polacy, nie mogliśmy pisać nawet o zbrodni tak oczywistej jak Katyń.

W maju 1945 r. pisano obszernie a twardo o winie Niemiec, o zbrodniach popełnionych w Oświęcimiu, Dachau. Belsen. W maju 1949 r. przypominanie Niemcom tych zbrodni już jest przyjmowane przez niektórych Anglików z niesmakiem. Uchodzi za nietakt. Można jeszcze zwalać winę na hitlerowców, zwłaszcza nieżywych, ale o narodzie niemieckim mówi się coraz życzliwiej, coraz uprzejmiej.

Mówiło się dużo o zbrodnich sowieckich, ale mimo to Anglosasi bez większych skrupułów wyciągali ręce do ludzi takich jak Stalin, Mołotow, Beria. Cóż dziwnego, że bratają się z Niemcami, skoro teraz przewodzą im inni ludzie, nie podpory, lecz ofiary zbrodniczego systemu? Nie da się zaprzczyć, że i naród niemiecki **stracił tysiące ludzi** w walce z hitleryzmem, że **emigracja niemiecka przed r. 1939** przedstawiała się poważnie i pod względem jakościowym i ilościowym, że wreszcie **czołowi politycy** współczesnych Niemiec to **ludzie, którzy za czasów Hitlera byli szykanowani** a nawet cierpieli w obozach koncentracyjnych /Schumacher/.

To też Aglosasi mają do nich dość duże zaufanie i trudno byłoby im obarczać tych polityków odpowiedzialnością za zbrodnie Hitlera.

Powiada p. Bałasiewicz, że niemieccy politycy katolicy wypowiadają się przeciw linii Odry i Nissy. Cóż w tym dziwnego? W czasie wojny nieraz wypowiadałem się za powiększeniem Polski na zachodzie i mój punkt widzenia oczywiście różni się od niemieckiego. Ale nie wierzyłem, by Niemcy mogli się pogodzić z linią Odry i Nssy.

Politycy niemieccy, jeśli studiują uważnie polskie wydawnictwa emigracyjne, to widzą że Polacy chcą mieć cały obszar przedwojenny, dalej Królewiec z okręgiem i ziemie nad Odrą i Nissą. Razem okrągło 500 tys. kilometrów kwadratowych. Po odpływie niepożądanych przybyszów /z Rosji/ na tym terenie byłoby 32-34 miliony ludności. Gęstość zaludnienia wynosiłaby 64-68 głów na kilometr. Równocześnie Niemcy, skurczone do 355 tys. kilometrów, miałyby żywić 70-72 mil. ludzi — z gęstością zaludnienia około 200 głów na kilometr kwadratowy.

Pomińmy na chwilę argumenty historyczne, strategiczne lub kwestię kary za zbrodnie wojenne. Spróbujmy zrozumieć uczucia katolickich polityków niemieckich. Jakże oni mają się godzić na linię Odry i Nissy jeśli nawet ich dawni wrogowie mniej lub więcej wyraźnie wypowiadają się /Byrnes, Marshall, Churchill, Bevin/ przeciw takiej granicy?

Jest rzeczą prawdopodobną, że apetyty Niemców będą wzrastać w miarę politycznego i gospodarczego dźwigania się Niemiec. Przed dwoma laty wielu Niemców byłoby wdzięcznych Stalinowi, gdyby im zwrócił np. Szczecin i Legnicę. Teraz mają nadzieję, że odzyskają więcej.

Mogę się zgodzić z p. Białasiewiczem, że „naród niemiecki jeszcze nie został przerobiony" i że widać uleganie „nastrojom szowinistycznym". Ale wojna nie umoralnia narodów, a szowinizm bez trudu można dostrzec również w innych krajach.

Ja sam spotykam ludzi, którzy wypowiadają się zdecydowanie za moralnością chrześcijańską i w życiu prywatnym postępują wzorowo. Ale w polityce naśladują murzyna, który mówi:

— Dobrze jest, jeśli ja komuś ukradnę krowę, źle jest, jeśli ktoś ukradnie moją krowę.

W zastosowaniu do aktualnych zagadnień wygląda to następująco:

— **Źle jest**, gdy władze zmuszają księży do rugowania z kościołów języka polskiego, **dobrze jest**, gdy zmuszają do rugowania języka niemieckiego.

— **Barbarzyństwem** było niszczenie pomników w Warszawie lub Poznaniu, **aktem sprawiedliwości** jest niszczenie pomników w Szczecinie lub Wrocławiu.

— **Daje nam mocną podstawę prawną fakt,** że w 14-tym wieku władca Wilna poślubił królowę Jadwigę, która w swym świętobliwym życiu trochę się przyczyniła do rozwoju kultury i kolonizacji polskiej. **Nie ma żadnego znaczenia fakt,** że w 13-tym wieku władca Wrocławia poślubił księżniczkę Jadwigę, która w swym świętobliwym życiu trochę się przyczyniła do rozwoju kultury etc.

— **Trzeba potępić** wysiedlanie katolickich Polaków. **Nie warto się roztkliwiać** nad wysiedlaniem katolickich Łemków lub Niemców.

Mógł bym mnożyć takie zestawienia. Ale to jest dość przykre. A już zupełnie nie mam ochoty do przytaczania faktów mało znanych, ale bardzo brzydkich i bolesnych. Obawiam się, że będą je czytać nasi przeciwnicy. Ja wolę przytaczać fakty i argumenty, które przemawiają na korzyść narodu polskiego. W tej właśnie intencji, w trosce, by emigracji polskiej nie oskarżano kiedyś o pochwalanie tego wszystkiego co robią agenci Stalina, notuję skwapliwie każde wystąpienie w obronie zasad chrześcijańskich w polityce, a przeciw zaślepionemu nacjonalizmowi i szowinizmowi.

Szanse w polemice są oczywiście nierówne. Ja nie chcę przytaczać faktów przykrych i niekorzystnych z naszego punktu widzenia, plamiących nasz honor, bo mogłyby być wyzyskane przez propagandę antypolską. Mówienie prawdy jest zresztą zwykle wysoce niepopularne. Ogół woli demagogów typu Kleona, którzy zawsze schlebiają swemu narodowi. Myślę więc, że po tym, co teraz pisałem, odezwie się conajmniej kilku krzykaczy udowadniając, że nasze dążenia są bardzo skromne, umiarkowane i realne, że w polityce zawsze wyróżnialiśmy się niezwykłą szlachetnością, nigdyśmy nikogo nie skrzywdzili i niczego wstydzić się i potępiać nie potrzebujemy...

Stanisław Sopicki

X. B. K.

PIEŚŃ DROGI

KARDYNAŁ Newman (1801-1890) był wtedy młodym profesorem w Oxfordzie, w Oriel College i anglikańskim duszpasterzem uniwersyteckim. Zdarzył mu sie właśnie, rzadki w jego życiu, wypad na kontynent. Był rok 1834. Zwiedził z przyjacielem Rzym. Miał wracać na swą Wyspę pełen napięcia ducha, pełen przebytych zmian, pełen pracy umysłowej i wewnętrznej. Na Sycylii zapadł poważnie na zdrowiu, był u wrót śmierci, nieledwie poczuł się porzuconym emigrantem na obcej ziemi, zapadał w jakieś mroki, w których wyrywał mu się okrzyk: — „nie! — nie umrę jeszcze, bom nie zgrzeszył przeciw światłu! Na coś mnie Bóg chowa."

Powracał do ojczyzny na frachtowym statku żaglowym. I oto w wieczornych cieniach na śródziemnomorskich lazurach, gdzieś koło wybrzeży Korsyki, wybuchła nagle w nim pieśń, słynna, powtarzana potem przez wielu, włączona w antalogię, śpiewana po kościołach; pieśń, której marne, bo marne, ale zawsze jakieś tłumaczenie dajemy poniżej.

Wielki duch jego, dotknięty w głębokościach niewidzialną ręką, jednego się uczepił: wiary w Światłość, oddania się całkowitego w podmuch Ducha Św. Ten podmuch go ogarniał i poprzez niego trafił do tylu innych. Jego zaś zaprowadził po długich walkach do Kościoła katolickiego.

O słodka Światłości! Prowadź wśród ciemności kręgu,
Prowadź mnie za sobą! I doprowadź!
Ciemna bowiem jest noc! I dalekom ja od domu!
Prowadź mnie więc za sobą i doprowadź!
Kieruj moje stopy; nie proszę cię, bym widział
Daleki kraj i przyszłość! wystarczy mi krok jeden,
i za krokiem krok.

Nie zawsze jam o to prosił anim się modlił,
Byś mnie prowadził Ty, o Światłości!
Kocham się we własnym wyborze i w rozpoznawaniu mej drogi.
Lecz teraz? O, zaprować że mnie Ty!
Lubiłem dnie triumfu i wbrew wewnętrznej trwodze
Wolę mą ujęła pycha: zapmnij mych dawnych dni!

Twa woc tak dawniej błogosławiła mi,
Zapewno więc poprowadzić dalej zechcesz
Ponad trzęsawisko błotne, ponad wodne urwiska,
Aż przyjdzie — dla mnie — noc.
I za powrotem zórz uśmiechną się anioły
Których dawnom ukochał i — zagubił na chwilę.

BOGUSŁAW PRZERADZKI

MODRZEJEWSKA W LONDYNIE



Modrzejewska w Londynie w r. 1881

TAK się zdarzyło, że w kwietniu roku bieżącego wypadła czterdziesta rocznica zgonu Heleny Modrzejewskiej, w początkach sierpnia mija dwadzieścia pięć lat od zgonu Józefa Conrada-Korzeniowskiego, a w dniu 17 października sto lat od zgonu Fryderyka Szopena. Wspólny los związał tych troje, jakże różnych pod wielu względami artystów: nie w Polsce, lecz na obcej ziemi osiągnęli rozkwit swych uzdolnień i przebyli najpłodniejsze lata swego życia. Zachód dał im dyscyplinę wysiłku twórczego i atmosferę tradycji kulturalnych, nieprzerywanych ciągłymi kataklizmami politycznymi. Było to bardzo wiele — pamiętać jednak trzeba, że podglebie duchowe twórczości zarówno Szopena, jak Conrada i Modrzejewskiej jest głęboko polskie. Polska także dała im początki wychowania artystycznego — początki nie bylejakie — i obdarzyła bogactwem motywów i natchnień twórczych.

Conrada i Modrzejewską łączy jeszcze jedno: oboje spędzili swój wiek dojrzały w świecie anglosaskim i w świat ten wrośli, zachowując przy tym jednak swą podstawową polskość. Podobne są też przyczyny, które z taką siłą rzuciły Conrada i Modrzejewską na obcy grunt: szukać ich należy w głębokiej depresji, jaka zaległa Polskę po tragedii z 1863-64, i w duszącym zatamowaniu wszelkich horyzontów życiowych. Buntowały się przeciw temu bujniejsze natury, przejęte pragnieniem życia wolnego i otwartego dla wszystkich możliwości; to właśnie pragnienie rzuciło Conrada najpierw na brzegi Morza Śródziemnego, a później kazało mu zostać marynarzem brytyjskim, odwiedzającym w długich rejsach najbardziej egzotyczne kraje świata. W postaci Toma Lingarda ze swych powieści malajskich scharakteryzował swą własną pasję wolności i przygód.

Modrzejewską za morze skierowała jej ambicja artystyczna; nie wystarczał jej ówczesny repertuar scen krajowych, ograniczony przez panujące warunki i przez cenzurę zaborców. Wielbicielka Szekspira, od młodości marzyła o tym, by móc grać go w jego własnym języku i na scenach własnej jego ojczyzny. Niewiadomo jednak, czy pragnienia jej by się spełniły, gdyby nie wpływ, jaki na bieg jej życia wywarli dwaj ludzie: mąż jej Karol Chłapowski, którego poślubiła w roku 1868, i — Henryk Sienkiewicz.

Karol Chłapowski, Wielkopolanin— znany później w Stanach Zjednoczonych od nazwy swego majątku jako „Count Bozenta" — wziął udział w powstaniu 1863 roku jako żuaw w oddziałach Langiewicza, a później jego adiutant, i za to więziony był przez władze pruskie w berlińskim Moabicie. Próbował potem działać na terenie Krakowa; obdarzony talentem publicystycznym redagował tam przez krótki czas niewielki tygodnik społeczno-polityczny. Panująca w całym kraju atmosfera dławiła go jednak coraz bardziej — i na ten właśnie stan psychiczny padła inicjatywa późniejszego autora „Trylogii". W roku 1876 Sienkiewicz, mający wówczas lat trzydzieści, wyruszył wraz z przyjacielem swym Sypniewskim do Kalifornii i począł stamtąd pisać entuzjastyczne listy do Chłapowskiego i jego żony, zachęcając ich by podążyli za nim i przyłączyli się do kolonii, jaką zamierzał założyć.

Pomysł Sienkiewicza został urzeczywistniony. W miasteczku Anaheim, położonym wśród stepów, Sypniewski kupił mały domek ze stodołą, w którym poza Sienkiewiczem zamieszkała Modrzejewska z mężem i synem oraz Sypniewscy. Mężczyźni pracowali na otaczającym domek polu, kobietom czas wypełniały prace domowe. Uprawa twardego, jałowego gruntu okazała się jednak zajęciem bardzo ciężkim i niewdzięcznym; gromadka osadników szybko zniechęciła się do takiego trybu życia i „kolektyw" anaheimski już po kilku miesiącach rozsypał się. W styczniu roku 1877 Chłapowscy wyjechali do San Francisco, gdzie zostali serdecznie przyjęci przez tamtejszą kolonię polską z gen. Krzyżanowskim na czele. Modrzejewska, która do tej pory nie władała zupełnie językiem angielskim, zabrała się z wielką energią do nauki i już po siedmiu miesiącach, w sierpniu 1877 roku, wystąpić mogła — dzięki staraniom gen. Krzyżanowskiego i poparciu znanego reżysera i aktora amerykańskiego Johna McCoulougha — na scenie w „Adrienne Lecouvreur", głośnej sztuce dramaturga francuskiego Scribe'a.

*

Modrzejewska miała już wtedy za sobą wiele lat kariery teatralnej — ale wyłącznie na scenach polskich. Rozpoczęła ją w wieku lat siedemnastu w podkrakowskiej Bochni, biorąc udział w przedstawieniu na dochód wdów i sierot po górnikach, którzy ponieśli śmierć podczas pożaru w tamtejszej kopalni soli. Urodzona w Krakowie dnia 12 października 1844 r. Helena Opidówna od dzieciństwa żyła w atmosferze kultu teatru, poezji i muzyki; trzech jej przyrodnich braci, Bendów, wstąpiło na scenę. Zespół, z którym wystąpiła w Bochni, odbył potem turnée po miasteczkach galicyjskich; młoda artystka grała Amalię w „Zbójcach" Schillera, Lady Teazle w „Szkole Obmowy" Sheridana, Klarę w „Ślubach Panieńskich" oraz inne główne role w komediach i melodramatach polskich i francuskich. Przez pewien czas występuje w Czerniowcach, stolicy Bukowiny. Jej krokami scenicznymi w całym tym okresie kieruje aktor i przedsiębiorca teatralny Gustaw Zimmajer.

Los wiąże ją blisko z tym człowiekiem; wspólnie przybierają nazwisko Modrzejewskich, którego Helena używała do końca życia. W krajach anglosaskich pseudonim ten uległ skróceniu i nagięty został do pisowni angielskiej; zarówno w Stanach Zjednoczonych jak w Wielkiej Brytanii znana była jako Helena Modjeska.

To pierwsze pożycie Modrzejewskiej nie było szczęśliwe; po paru latach w roku 1865 młoda artystka zrywa z Zimmajerem, zatrzymując przy sobie syna Rudolfa(Ralfa), później słynnego konstruktora mostów w Stanach Zjednoczonych (zmarłego w r. 1940).

Tymczasem jednak kierownicy teatrów poznają się na jej talencie. Już w r. 1862 występuje przez rok w teatrze lwowskim, a w październiku 1865 debiutuje w Krakowie w dramacie Wacława Szymanowskiego „Salomon". Następnym jej etapem jest Poznań, a w październiku 1868 r. rozpoczyna swą tryumfalną karierę w Teatrze Wielkim w Warszawie tą samą sztuką, jaką zaprezentowała się w niespełna dziewięć lat potem publiczności amerykańskiej.

*

Sukces pierwszego występu Modrzejewskiej w San Francisco był zupełny. W prasie krajowej ukazała się wkrótce potem entuzjastyczna korespondencja Sienkiewicza—Litwosa, sławiąca zwycięstwo rodaczki i fascynujący urok, jakim wzięła w jasyr nawet zimnych businessmenów amerykańskich. Po serii występów w stolicy Kalifornii nastąpiło zaangażowanie do Fifth Avenue Theatre w Nowym Jorku; odtąd Modrzejewska w szybkim tempie dobija się rangi czołowej artystki scenicznej Nowego Świata. Impresariem jej staje się własny mąż, człowiek dużej kultury artystycznej i niezmordowanej ruchliwości. W r. 1879 Modrzejewska jedzie do Krakowa grać z okazji jubileuszu Józefa Ignacego Kraszewskiego, a w lutym roku następnego — otrzymawszy „engagement" od jednego z brytyjskich przedsiębiorców teatralnych — przybywa wraz z mężem do stolicy Anglii.

Początkowo Londyn zrobił na niej wrażenie przygnębiające. „Nigdy jeszcze — pisze w jednym ze swych listów z tego okresu — nie czułam się tak daleko od swego kraju i swego społeczeństwa, jak tutaj. Wszyscy tu napełniają mnie niewytłumaczonym strachem: tłumy śpieszące się i wiecznie pchające naprzód, podzieniałe mury budynków, gwizdanie lokomotyw, a nawet wspaniałe zarysy Opactwa Westminsterskiego. Wczoraj, gdy stałam u stóp posągu Nelsona, spojrzałam w górę i wydawało mi się, że widzę na ustach wielkiego Anglika ironiczny uśmiech, jakby mówił: „Czego tu chcesz, drobna muszko?".

Nastrojom tym trudno się dziwić. W Ameryce Modrzejewska znalazła od razu wielu przyjaciół i liczne, doskonale zorganizowane kolonie polskie, które okazały jej wielką życzliwość i pomoc. W Londynie lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia życie polskie prawie nie istniało; wymierali ostatni weterani Wielkiej Emigracji, a po upadku dawnych organizacji emigracyjnych nieliczni w W. Brytanii Polacy zatracali szybko wszelkie między sobą kontakty. Wiktoriańska Anglia była wówczas u szczytu swej potęgi, ale zainteresowanie dla sprawy polskiej zanikło zarówno wśród jej polityków jak społeczeństwa; ignorancja w tym zakresie była wprost nieprawdopodobna.

„Przejmuje mnie rozpaczą — pisze Modrzejewska, uderzona boleśnie tym kontrastem, w liście do matki — jak mało ci ludzie za granicą o nas wiedzą i jak mało dbają. „Polska? Gdzie to jest?" — pytają. Nie ma nas na mapie, więc widocznie nie ma nas zgoła — jakaż piekielna omyłka!"

Anglik, od którego Modrzejewska brała lekcje wymowy, powiedział jej, że zachowała rosyjski sposób wymawiania, który łatwiej wykorzenić niż nosowe skrzeczenie amerykańskie. „Gdym mu odparła — pisze Modrzejewska, — że nie jestem „Russian" lecz „Pole", wytrzeszczył na mnie ślepia, jakby dręczony poważnymi wątpliwościami, czy ojczyzna moja leży na północnym czy południowym biegunie" (gra słów: „Pole" oraz „North Pole" i „South Pole").

Przypominają się podobne, pełne gniewu wzmianki, rozsiane we wspomnieniach i listach Conrada, któremu insynuowano, że jest w charakterze swej twórczości pisarskiej nieledwie Rosjaninem.

Przygnębiające wrażenie zrobiło też na Modrzejewskiej nabożeństwo polskie w Londynie. Nabożeństwa te odbywały się wówczas w podziemiach kościoła włoskiego przy Clerkenwell Road; odprawiał je ks. Bakanowski ze Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców. „Na płacz mi się zbierało — opowiada Modrzejewska — gdym zobaczyła tę karykaturę domu Bożego... Ołtarz przykryto poplamionym obrusem i ustawiono dwie świece i trzynaście stołków. To było wszystko. Biedny ksiądz sam sobie przyniósł wino, mszał i inne przybory. Msza się rozpoczęła cicho i smutno, oh! jakże smutno! Przypominało to katakumby, gdzie pierwsi chrześcijanie kryli się z obrzędami. Dźwięk organów i rulady śpiewaka operowego, dochodzące słabo do naszych uszu z górnego kościoła, powiększały jeszcze to bolesne wrażenie".

Na kilka tygodni przed tym — o czym Modrzejewska napomyka tylko krótko—na ks. Bakanowskiego dokonany został zamach. Było to dnia 10 stycznia 1880 r.; jakiś anarchista, przybyły na pewien czas przed tym z Mediolanu, strzelił pięciokrotnie do ks. Bakanowskiego, gdy ten odprawiał mszę św. przy głównym ołtarzu kościoła; zamachowiec chybił jednak i został ujęty. Wypadek ten zrobił duże wrażenie w ówczesnej Europie.

Rozgoryczenie Modrzejewskiej i jej żywiołowy patriotyzm wybuchają w czasie wizyty, jaką złożyła znakomitemu poecie angielskiemu Alfredowi Tennysonowi, ongiś autorowi dwóch sonetów o Polsce. Gdy już wszyscy goście się zeszli, Tennyson zadał jej parę pytań na temat Polski. „Nie mogłam mówić spokojnie o mym kraju — pisze Modrzejewska —, wołałam nie mówić wcale i powiedziałam tylko p. Tennysonowi, że czytałam jego poemat „Polska" i że dziękuję mu za pamiętne jego słowa: **„Us, O Just and Good, forgive who smiled when she was torn in three"** („Przebacz nam, o Sprawiedliwy i Miłosierny, nam, którzyśmy się uśmiechali, gdy ją rozdzierano na troje"). Recytowałam te wiersze, cała dygocąc. Widząc me podniecenie Tennyson z miejsca zmienił przedmiot rozmowy".

Było to w pół wieku blisko po napisaniu przez Tennysona sonetu „Poland". Wygasły już od dawna ognie, jakie wśród elity intelektualnej Zachodu rozpaliło powstanie listopadowe i jego chorążowie z Wielkiej Emigracji...

*

Po parumiesięcznym okresie oczekiwania, w dniu 1 maja 1880 r. odbył się londyński debiut Modrzejewskiej w „Damie Kameliowej" Dumasa; sztuka ta była wprawdzie zabroniona przez cenzurę brytyjską, pozwolono jednak na wystawienie jej z małymi przeróbkami i pod zmienionym tytułem: „Heartsease" („Bratek"). Przedstawienie odbyło się w Royal Court Theatre na Sloane Square i w tym budynku Modrzejewska występowała przez rok z górą. Court Theatre istnieje po dziś dzień, w czasie Drugiej Wojny Światowej został jednak poważnie uszkodzony przez bombę niemiecką, która ugodziła sąsiedni budynek stacji kolejki podziemnej. Obecnie Court Theatre, obstawiony rusztowaniami, znajduje się w odbudowie.

Debiut Modrzejewskiej był wielkim tryumfem; publiczność zgotowała jej owację, powiewając ku niej, ówczesnym, rzadko zresztą stosowanym zwyczajem, chusteczkami. Na przedstawieniu obecny był książę Walii — późniejszy król Edward VII — z żoną; by złożyć Modrzejewskiej gratulacje przyszedł do jej garderoby w towarzystwie Mieczysława Jaraczewskiego, ziemianina z Wielkopolski, z którym łączyły go wówczas bliskie stosunki towarzyskie. Modrzejewska notuje w swych wspomnieniach, że książę Walii używał w stosunku do niego przyjacielskiego przezwiska „Sherry - Whiskey"; w ten sposób przeinaczał słowo „Jaraczewski", choć poza tym wymawiał bezbłędnie najtrudniejsze nazwiska cudzoziemskie, nie wyłączając dźwięku „ł" w nazwisku Chłapowskich. Jaraczewski zmarł już na wiosnę roku następnego i pochowany został na cmenta-

Dokończenie na s ronie 6

BEATA OBERTYŃSKA

HRYŃ

DLACZEGO Antonia, a nie Antosia czy Antonina choćby, nie wiem do dziś. Trudno przypuścić, że kazała się tak nazywać w poczuciu stylu swej powierzchowności. Kiedy się przyszła godzić, Babcia zaniemówiła. Nawet my — dzieci — nie mogłyśmy niezauważyć jej uderzającej, wspaniałej urody.

Była to osoba lat dwudziestu kilku, rosła, smagła i prosta jak jodła. Jakaś królewska prawie wzgarda taiła się w kątach jej bladawych, pięknych ust — wzgarda chłodna, gorzka, ta sama, która się błąka do dziś po wargach klasycznych marmurów.

Pamiętam tylko, że mówiąc wykręcała sobie ciągle palce zniszczonych kuchnią rąk i przestępowała często z nogi na nogę jakby ją parzyły nowe, nierozchodzone jeszcze trzewiki. Odziana była schludnie i dostatnio. Na szyi miała sznurek koralowej sieczki, ostry, widlasty i bardzo ciemno czerwony, a w uszach dwa dęte półksiężyce z bladego złota.

Tym jednak, co mnie w niej zaciekawiło najbardziej, to była—dawno już widać zagojona — blizna, biegnąca od ucha do ucha przez całe podgardle, blizna znacząca się wyraźnie białawą nitką na tle jej smagłej skóry.

— To znaczy, że Antonia mogłaby jechać zaraz, nie czekając piętnastego?

— Dlaczego nie? — wzruszyła ramionami — Ja nawet i owszem... Rzeczy mam już u koleżanki. Ja z Kopernika odeszłam jeszcze w zeszły czwartek. Miejsce było dobre... nie mogę powiedzieć... tylko państwo ze sobą źle żyło... Musiałam rzucić... Przez pana...

Babcia spojrzała bystro spod okularów, potem chrząknęła, a potem spytała, czemu nie jestem w ogrodzie. Wywinęłam się ociągliwie na pięcie i niby to poszłam — ale zostałam. Nowa służąca to było przecie takie ważne!

— Po zakupy jeździ się tam do miasteczka, konikiem. Bułki przynoszą sami od piekarza, z tym więc nie ma kłopotu — mówiła jeszcze Babcia. — Wodę do picia i kuchni trzeba nosić ze źródełka w ogrodzie. Resztę przynosi chłopiec. Do prania jest deszczówka, albo potok... Czy dać Antonii adres?

— Nie... bo właśnie...— i Antonia zawahała się chwilę — Ja właśnie chciałam prosić, że jakby kto pytał, to żeby nie mówić gdzie to... Poco mają wiedzieć? Nawet jakby koleżanka...

Babcia znów spojrzała uważnie, Antonia znów przestąpiła z nogi na nogę.

— Poco mają wiedzieć? — powtórzyła, jakby się tłumacząc. — Ja powiedziałam, że rzucam miejsce i jadę do siostry... Jakby wyszło, że do obowiązku...— i przełknęła koniec zdania, wykręcając palec.

— Ale biuro i tak zna adres — powiedziała Babcia.

— Eeee... kto by tam aż do biura... Tylko tak — gdyby kto pytał, to żeby nie mówić...

I pamiętam jeszcze jeden szczegół, dość charakterystyczny zresztą. Kiedy Babcia schowała już świadectwa do szuflady, kiedy podała dokładną datę i godzinę przyjazdu i na zakończenie, powiedziała, jak się to zwykle mówi godzonym kucharkom, że kościół jest w pobliżu, Antonia z wyższością wzruszyła ramionami.

— Ja tam za księżami nie bardzo...

Nie. Antonia nawet wcale nie była „za księżami“

Kiedy w niedzielę pokojowa Hania jechała na ósmą do kościoła, Antonia zawsze miała coś ważniejszego do roboty. Czasem mówiła odczepnego, że się przysiądzie na kozioł, jak pojedzie druga partia na sumę — ale to było też tylko takie gadanie...

Na zakupy zato jeździła potem chętnie — zbyt chętnie nawet i z reguły nie pamiętała, że zapasy należy porobić na dwa dni przynajmniej. I tak to nasz kochany, poczciwy Cioś człapać musiał potulnie codzień prawie owe dwa kilometry bitym gościńcem, wioząc naszą piękną Antonię, obok wbitego w zbiegniętą po praniu,



pasiatą kurtkę naszego poczciwego Hrynia.

Hryń to było chłopisko miejscowe, rok rocznie najmowane na lato, do Ciosia. I Cioś i Hryń wchodzili w nasze życie tylko na dwa letnie miesiące. Potem się podziewali. Hryń wracał do tartaku, a Cioś do kopalni. W ciemnej stajni zostawał wózek o jednym ciedzeniu i żółty powozik, któremu przed odjazdem z wakacji wbijało się w pokrowiec i zasypywało od moli granatowym suknem wyścieloną budę.

Hryń mieszkał w małym pokoiku przy drewutni. Pod oknem piała mu się po srebrzystych tykach, czerwono kwitnąca fasola i kury otrząsały się w ciepłej grządce. Pokoik ten był mi najmniej znany ze wszystkich. Dzieciom nie wolno było tam wchodzić. Przez uchylone tylko ku drewutni drzwi, jawiła nam się czasem jego drzewna, złotawa głąb, z jaskrawym prostokątem okna, pełnego przejętych słońcem liści fasoli. Zapach siana i lichego tytoniu — ten sam zresztą, którym tchnął Hryń — zawiewał z jego głębi.

Hryń lubił nas bardzo i my wszyscy bardzo lubiliśmy Hrynia. — Nosił twarde buty z cholewami i spodnie z kamizelką z mocnego jak skóra, drobno prążkowanego welwetu. Welwet ten dobrze już wytarty i pozagniatany, miał po sobie te same aksamitne naloty, co cynamonowe haby z buków pod Horbaniem. Tylko wtedy kiedy jechał po kogoś na Dębinę czy do miasta, wkładał Hryń coś w rodzaju liberii: płócienną, błękitną, paskowaną kurtkę z metalowymi guzikami. Na codzień bielał rękawami koszuli, które nosiły na mankietach spełzłe i wyskubane ślady krzyżykowego haftu. Jedyną ozdobą jego stroju był przewleczony przez dziurkę kamizelki gruby, niklowy łańcuszek i wielki brelok z widokiem Kochawiny. Zegarek miał lekko żółtawe, od środka zakurzone szkiełko i nawet w kamizelce tykał z takim przejęciem, jakby conajmniej był sercem.

Hryń mówił osobliwą, pełną wzajemnych naleciałości mieszaniną polskiego z ruskim, przetrzęsioną tu i tam wykoszlawioną niemiecczyzną. To ostatnie obsypało go pewnie razem z trocinami w tartaku. Zamiast „w“ mówił najczęściej „u“ i odwrotnie. Było więc: zauździ, prauda i upirw, a zamiast: utopił — wtopił i zamiast wiatr — uiatr. Pozatym takie rzeczy jak: jangrest, leworwel, harmata i takie jak: sztreka, szmelcug i sztajnbruch — nie mówiąc już o: tuitoń, kuń, orzechi i barabet...

Chłopisko nie było już najpierwszej młodości, a może spracowane od dzieciństwa robiło takie wrażenie. Cóż nas zresztą obchodziły wtedy czyjeś lata? Najważniejsze, że Hryń był swój i znajomy. Szeroką, pospolitą jego twarz rozjaśniał stale zakłopotany jakby uśmieszek, a spojrzenie burozielonych oczu, było po ufne i bezpieczne. Hryń zawsze był po naszej stronie. Nie leciał na skargę, kiedyśmy mu naprzykład siano z kopicy na kopytach roznieśli, bat złamali, czy wyświecili chyłkiem świecę w latarni powoziku. Pomagał nam nawet zacierać ślady podobnych zbrodni tak, że zawsze czuliśmy jego spocone, stajnią pachnące plecy za sobą. Kiedyśmy czasem całą wodę wychlapali na grządki, Hryń brał bez słowa z kąta koromeslo i szedł do studni w kamieniołomie. Nikt nie umiał wyciąć tak prostego kija z leszczyny, jak Hryń. Nikt nie umiał wystrugać ładniejszego miecza z gonta. Hryń wiedział zawsze gdzie dojrzewają pierwsze orzechy i gdzie napewno będą grzyby. Nie bał się wcale węży i kilka żmij zatłukł w naszych oczach. — Nie umiał zato ani czytać ani pisać, i bardzo się tego wstydził. Przyznawał się do tego Kaziowi, do którego miał wogóle największe zaufanie. Z czułości nazywał go Anzimirek, mówił do niego przez trzecią osobę, co niesłychanie w naszych oczach podnosiło autorytet Kazia. Nie pamiętam już dziś, jak sprawa tego czytania doszła do starszych — dość, że Anzimirek dostał pozwolenie udzielania Hryniowi lekcji. Senny głos dukającego alfabet Hrynia, dolatywał nas potem nieraz przez czerwono kwitnącą fasolę...

Hryń jadał w kuchni — na brzeżku drugiego stołu — pod oknem od „kamiennej gruszki“. Jadał z zakłopotaniem, nie podnosząc oczu i nie odzywając się do nikogo, jak by to było coś bardzo wstydliwego. Daleko krzesłem odsunięty od stołu i nisko nad talerzem pochylony, siorbotał i mlaskał sumiennie, łyżką krając mięso czy kartofle. Zdawało mi się zowsze, że mu wszystko musi bardzo smakować, takie to jego jedzenie było skupione, głośne i namaszczone.

Tuż przy kolanie sadowił mu się zazwyczaj Smok — to największe i najgłupsze chyba psisko świata — dobroduszny, pozbawiony wszelkiej godności i rozeznania Leonberger. Asan naprzykład nigdy by się tak nie poniżył, by komuś przy jedzeniu wyczekująco w zęby patrzeć! Ale Asan — jak na żmudzkiego brytana przystało — był zamknięty w sobie, chodził własnymi drogami, darł nosa a przede wszystkim gardził Smokiem. Tyle, że Smok o tem nie wiedział. Na głupią myśl mu nie przyszło. Ot — nastroszył uszy ... ślina kapie mu z czarno różowych, postrzępionych fafli, a od mętnego zapatrzenia się w Hrynia dolne powieki ściekły mu trochę ku dołowi i odsłoniły śliską, różową podszewkę.

Zapach kuchni po obiedzie jest inny, niż o innych porach dnia. Od stygnącej blachy idzie, niepotrzebne już, kończące się, ciepło i nagrzana polepa przypiecka pachnie wapnem. Baniak z wodą na naczynie jest już zbędny i odkryty. Reszta niebieskawej wody uciekła nisko pod białawy krążek osadu, który zniknie dopiero wieczór, kiedy się znów doleje wody. Od rozesłanych na przypiecku papierów chucha gorycz suszących się grzybów. Nadewszystko jednak wybija się gorąca, cudownie purpurowa woń sparzonych właśnie malin! Wyprany rano kwadrat organtyny, schnie już na sznurku i czeka. Znać na nim krwawe okole i lekkie wybrzuszenie nitek po poprzednich malinach. Niedługo te nowe, związane w ciężki bąbel, zawisnął nad stojącą na ziemi rynką, u nóg kunsztownie, jedno na drugim ustawionego krzesła.

...Tajne, niepokojące misterium ociekania malin! Klepsydra purpurowa, znacząca ociągliwie czas! I to nieprzeparte, grzeszne pragnienie, aby — gdy nikt nie widzi — podkraść się bliżej i ścisnąć obu rękami krwawe, pachnące wymię! Wstrzemięźliwe kapanie kropli — których przecie tyle w tym organtynowym bąblu — drażni i podjudza do zbrodni... Dlatego to musi skapać koniecznie samo i tak powoli w dodatku? Ach! Jakże pamiętam śliski skrzyp pod palcami i to sprężyste rozstępowasie się malinowej miazgi i tę cudowną purpurę gwałconego soku i przyśpiszony nagle puls miski na podłodze! Zbielała organtyna zachowuje na moment kształt ręki zbrodniarza, a jemu zostaje na dłoniach nieoczekiwanie kwaśna, szybko zlizywana, pachnąca, malinowa krew!

Stosunek mój do Antonii był raczej złożony. Chciałam się wkupić w jej łaski, a robiłam właściwie wszystko, żeby mnie pędziła z kuchni. Lubiłam oprzeć się o nią oczyma i jeździć tak na niej z miejsca w miejsce, bez świadomości prawie, że patrzę. Antonia była „inna“. Tylko tak mogłabym to wtedy określić. Dziś, gdy sobie jej urodę przypominam, porównać ją mogę tylko do typu urody Modrzejewskiej. Ciężkie, tragiczne oczy, nos prosty, klasycznie prawie równy z czołem i blade, gorzkie usta, o wyrazie tak osobliwym i własnym, jak zapach tuberozy. Antonia była piękna w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie umiałam tego wówczas nazwać oczywiście, ale musiałam to czuć, bo potrafiłam się w nią zagapić, tak prawie, jak w Hrynia Smok. Nic mi jakoś nie przeszkadzał, ten tak dotkliwie — jak dziś widzę — sprzeczny z jej powierzchownością sposób wyrażania się, podrzucanie łopatkami, ćwierkanie językiem w zębach po jedzeniu, czy chrupliwe naciąganie palców. Antonia — mimo wszystko — była inna. Własna, niedostępna. Zwłaszcza w zestawieniu z Hanią, która śmiała się byle z czego, gadała byle co i trzepała się po domu jak pliszka — wyniosła posągowość Antonii jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Było w niej jakieś władcze wzgardliwe „coś“, co mnie zmuszało do ubiegania się o jej łaski, do schlebiania jej — a czasem, jako przekorne przeciwieństwo tamtego — do robienia jej świadomie na złość. I wtedy Antonia była chyba najpiękniejsza! Rozjuszona Juno! Brunhilda przed wormacką katedrą! Błyskawica nad jodłowym lasem!

— Pójdziesz mi z kuchni! — krzyczała zamierzając się na mnie ścierką. — Żebym cię tu więcej nie widziała! Fora stąd!

Dobre stosunki z Antonią były mi jednak potrzebne z różnych względów i dlatego — pełna przekupnej, dziecinnej nikczemności — puszczając w niepamięć ową ścierkę, pchałam się do kuchni drzwiami i oknami. Właściwie — oknem. Tamto od „kamiennej gruszki“ było na głucho zamknięte i zastawione wazonkami z fuksją. W dodatku stał tam nieraz szklanny słój na „letnie kwaszenie“, słój, pełen jasno zielonych ogórków i mętnej gmatwaniny pozałamywanych badyli kopru. Ale okno od drabiny było niskie, zawsze otwarte i bardzo dobre do właźenia.

Zwykle chodziło o upieczenie na blasze „hołubinki“. Lepką, łatwo odłażącą błonkę zdzierało się najpierw koliście z podwiniętego w górę kapelusza. Potem kładło się grzybek na kuchni i soliło czyściutkie blaszki jego spodu. Już po chwili zaczynał skwierczeć, zapluwać się bańkami gotującego w nim soku — kurczył się — marszczył i brązowiał tak soczyście, że się go potem nożem odcinało od blachy, bo się do niej przylepiał mały, zbabczały i wtedy dopiero na prawdę pachnący grzybem.

Drugim powodem, który mnie skłaniał do tego oportunistycznego podlizywania się Antonii — były kąpiele w rzece.

Kąpiele te — to był cel, sedno i główny urok tych naszych górskich wakacji. Pierwszą myślą rano była pogoda i rzeka. Będzie kąpiel — czy nie będzie kąpieli? W upały chłopcy chodzili do rzeki dwa i trzy razy dziennie — ale chłopcom dobrze! Im wystarczał Hryń. My musiałyśmy mieć zawsze jakąś żeńską opiekę, a panna Emilia była już starsza, ciężka i chora na serce. Samo zejście do gościńca, potem przełaz przez tor, potem okrężna droga z przeprawą przez dwa gminne strumyki, wreszcie rozległe, rozprażone żwirowisko — to dla niej była wyprawa!

Można się było wprawdzie kąpać bliżej, w „szypotach“ dokąd zwykle chodziłaMama. Ale tam było nam trochę za strasznie. Przerażała nas hucząca, spieniona woda, te śliskie kamienne bochny zalewane zbielałą od nagłego zakrętu rzeką, ta porywista, znosząca nas i waląca z nóg nawała zielonego szkła. Kąpiel wśród skalnych, kipiących pianą wodospadów opłacało na nieustanną walką i wysiłkiem. Chwytanie się zgniło szmaragdowych, mszystych grzyw nie było ani bezpieczne, ani skuteczne. Mech odrywał się całymi spłachciami, kurzył mułem i zostawał w



garść zwisłą, kleistą szmatą, po której ręce zachowywały na długo gorzki zapach rzecznych wodorostów. Zatem woleliśmy się kąpać wyżej, gdzie rzeka nie wiedziała jeszcze nic o niedalekim zakręcie.

Na moje szczęście „kuchnia“ wolała także tamto łagodniejsze miejsce. Hania rzadko chodziła do kąpieli, bo była anemiczna i bała się zimnej wody, Antonia zato latała do rzeki zajadle, chciwie i gdy tylko miała czas. Nie zawsze tylko chciała mnie brać ze sobą. Czasem mówiła, że nie pójdzie, a już w chwilę potem poznawałam jej prostą, wyniosłą sylwetkę na białym żwirze za torem. Ze szkarpu widać było doskonale zwykłe miejsce naszych kąpieli. Można było nawet rozpoznać osoby, tylko krzyki i śmiechy dochodziły z dużym opóźnieniem, płasko jakoś i niepodobnie.

Czasem jednak Antonia godziła się łaskawie, abym i ja poszła razem. Zrywałam wtedy z drabiny suszący się po rannej kąpieli kostium i pędziłam za nią ku bramie. Smok czychał na te kąpiele tak prawie łapczywie jak ja. Kołysząc się zwałami kawowego futra trząsł się za nami ziajany, z różowo wywalonym ozorem.

Antonia szła do kąpieli boso, a ja wiedziałam, że ma na sobie tylko

I ANTONIA

RYS. L. P.

spódnicę i bluzkę. „Żeby się długo nie rozbierać nad wodą“... Szła na wietrze rozłopotana i cudownie, niepojęcie jakoś, wolna. Zamiast kąpielowego kostiumu letnią suknię niosła przerzuconą przez ramię i czerwień perkalu rwała się za wiatrem, jak wyszarpujący się z niej jednym bokiem płomień. Po każdym przejściu przez strumyk, nogi jej zostawiały na kamieniach wielkie pióra rozstrzępionych plam. Ze Smoka lała się już woda bo nie czekając rzeki, kładł się z reguły w pierwszy z brzegu strumyk.

Z początku, póki dojście do rzeki nie zmieniło się w jedną ławicę płaskich popielatych kamyków, tu i tam wrzynały się między kamienie ozory szorstkiej darni. Twarde, zielono białe pałki gęsich śladów wapniały sobie w słońcu i przewiewie. Czasem zabielało zgubione pióro puchu... Czasem kusa przyziemna stokrótka... widziałam to wszystko ostro i wyraźnie, jak przez powiększające szkło. Całą wyszczurzoną, nienacieszoną radością patrzenia, łykałam oczami wszystko, jak szło, jak mi wpływało pod bose, szybko drogę po kamykach wybierające nogi. I wszystko było ważne. I wszystko było uszczęśliwiające. I wszystko było — moje!

A rzeka gadała już z bliska, coraz wyraźniej, coraz zieleniej... Jak pas pawio zielonego atłasu, leżała między brzegami i skrzyła się i migotała i mieniła... Łamało się w niej ciemne odbicie lasu na tamtym brzegu i własna jej zieleń — ten szmaragd płynny, przejrzysty. przeczysty. cały roztańczony mokrymi iskrami. Rzeka szła tu gładko po kamienistym dnie, głęboka, mięsista, pluskająca zatajonym prądem i dopiero o kilkadziesiąt kroków niżej rzucała się biało na zakręt.

Najpierw zrywało się fartuszek. Potem za brzeg porwana sukienczyna zjeżdżała przez głowę, potem ręce, z wywróconych na opak rękawów... Wszystko kolejno zdejmowane z siebie musiałam zaraz przyłożyć kamykiem, bo gorący, porywisty wiatr, parł tutaj z głębi doliny. Obcy dotyk otwartej przestrzeni owiewał radośnie wyłuskiwaną z bielizny skórę. Kostium po rannej kąpieli nie był jeszcze całkiem suchy, to też wciągał się opornie, ciasny, pachnący rzeczną wodą. Jeszcze tylko podgarnąć do góry warkocze, jeszcze je tylko owiązać skosikiem kolorowej chustki...

Zawsze, zanim się weszło do rzeki, maczało się w niej najpierw palce, i znaczyło szybki krzyżyk na piersi. Rzeka, choć znajoma, była mimo wszystko straszna, zwłaszcza, że nie raz i nie dwa razy, widzieliśmy ze szkarpu niezwykłe zbiegowisko na brzegu, słyszeli krzyki i zawodzenia...

— Ktoś się widno znów utopił... — rzucał zdyszany Hryń i leciał „popatrzeć“.

Ten mały, wilgotny krzyżyk odczyniał jednak całe niebezpieczeństwo i już bez strachu — a z radością tylko — wstawiało się stopę w rozchlupotane wśród kamyków szkło.

Woda przy brzegu była zawsze niesamowicie ciepła. Muł zrywał się zaraz z dna i dymił mętny wokół stóp. Wystarczało jednak postać chwilę, aby się znów uspokoił. I wtedy maleńkie, bure, jak myśl płochliwe płotki, całymi stadami nałaziły ci na niesamowicie białe i niesamowicie przez wodę powiększone stopy. Woda była tu jeszcze tak płytka, że widziało się dokładnie same rybki i ich zrywliwy, zwinny cień, szmyrgający razem z nimi po dnie. Nadchodziły całymi chmurkami i całymi chmurkami znikały niewiadomo kiedy i gdzie. Czasem, któraś z nich trącić się umiała łechtliwie, prawie nie realnie — zgadywanem raczej, niż wyczutem dotknięciem — co było niewiadomo dlaczego strasznie miłe i osobliwe. No a potem, krok po kroku, wchodziło się coraz głębiej w to zielone rześwe, zawsze w pierwszej chwili dech zapierające szczęście.

Antonia była w kąpieli, jak zanurzony w wodę mak. Nie umiała pływać, ale lubiła dać się nieść prądowi jak sam chciał. Kiedy ją już zniosło spory kawał w dół, wyszarpywała się z wody, zawracała i idąc po dnie, walczyła całym ciałem z napastującym ją prądem, — rozżarta, radosna, zwycięska. Mam ją w oczach do dziś, jak prując się rzece pod prąd, wraca ku mnie zdyszana, rozprychana, o brodzie lśniącej od wody i śliny. ...Mokry perkal oblepiał ją przejrzyście jak guma, co czując widocznie, chwytała całą garścią szelepiącą, rozmlaskaną błonę i oddzierała ją wstydliwie od siebie. A kiedy, zanurzała się znowu w wodę, ciało jej — wyraźnie śniade na powietrzu, stawało się nagle zielonkowato białe i nieżywe i obce. Kąpała się zawsze w kolczykach i w sznurku tej swojej kolczastej, koralowej sieczki była jak kiść dojrzałej kaliny. I była jak mokry płomień! I była wspaniała! Wtedy czułam to tylko, dziś wiem...

Bardzo zabawnie było mi stąd patrzeć na dom. I wiedzieć o jego wnętrzu to wszystko, czego się stąd nie widziało... Zanurzony w zieloną gęstwę drzew, sam złoty jak piernik, gapił się ku rzece otwartemi drzwiami jadalni. Dach o tej porze nie lśnił już gontami, bo leżał na nich popołudniowo ukośny cień „dziadziowego dębu“. Brzozy, podobne zdaleka do zielonych wodotrysków, biły wysoko w błękitne powietrze, sute, płynne, całe w dół ociekające gałęźmi. Na całym świecie nie było brzóz takich, jak tamte! I takiej czwartej godziny popołudniu. Od szczęścia mrużące się oczy patrzyły w zielono błękitny świat, i wierna, nieznana jeszcze z imienia pamięć — piła cicho owo „teraz“, na jakieś nieznane, niewiadome „potem“.

— Hryń znowu jest na szkarpie! Widzi Antonia! I Asan! Rękawy Hrynia, jak często zresztą w czasie naszych kąpieli, bielały na tle ciemnych krzaków przy ławeczce.

— Durny! Ma się czego gapić! — i Antonia zapadała nagle w wodę po szyję, a całe jej oburzenie wybijało się na powierzchnię krwawymi pęcherzami znagła podmiecionego perkalu. — Już miałam akurat wyłazić, a tu masz... Wstydziłby się chłop, jak Boga kocham...

Antonia bardzo często mówiła: jak Boga kocham. Na przekór sensowi wymawianych słów, brzmiało to zawsze, jak przekleństwo.

To zresztą wcale nie była prawda, że Antonia „miała akurat wyłazić“. Zażarcie, z jakiem wciąż na nowo rzucała się w wodę, pasja z jaką się w nią wgarniała, mocowała z prądem, biła z pianą — miało w sobie jakieś nienasycenie, jakąś zajadłość wprost żywiołową. Nie mogła skończyć z tą rzeką! Nie miała siły oderwać się od niej. Nie umiała się jej oprzeć. Usta jej bladły i całe ciało jeżyło się krupą gęsiej skóry, która podsypywała jej szczęki i policzki — a przecie nie wychodziła z wody.

— No... jeszcze ostatni raz... — mówiła szczękając zębami i zawsze z tą samą niesytą zachłannością padała rzece w objęcia!

Ja byłam już dawno na brzegu. Nie mogłam tak długo, jak Antonia. Cierpłam w tym rwącym, zielonym szampanie do szpiku kości i aż się robiłam sztywniejsza, od głębinego ziębnięcia. Na szczęście, moja kamykami poprzykładana bielizna, była dobroczynnie nagrzana słońcem. Pamiętam dobrze zadowolenie, jakie mnie ogarniało w miarę kolejnego naciągania na siebie tych białych, swojskich łaszków, w miarę przepychania ziębniętymi palcami przez znajome dziurki, dziecinnie dużych, nicianych guzików. W dotyku otwartej przestrzeni — tak cudownie osobliwym przy rozbieraniu się — było teraz coś opacznego, coś nie takiego jak zwykle. Po włożeniu bielizny dopiero, robiło się jak zwyczajnie, ciepło i bezpiecznie. Jedne warkocze najdłużej zostawały obce. Czułam je na szyi wilgotne, więc cięższe niż zawsze, i wiatr namiatający mi podeschłe już kosmyk i na oczy, zalatywał muliście zapachem rzecznej wody.

Antonia, rozłopotana jak Nike — szła prosto w słońce i wiatr, świeża, chłodna i milcząca.

— Co to Antonii stało się w szyję? — spytałam ją raz, kiedyśmy tak we dwie tylko, wracały od kąpieli. Pytanie to siedziało mi w myśli, jak zadawniona skałka, ale je zawsze odkładałam. Czułam, że lepiej zadać je będzie bez świadków. I wiem, że tylko dlatego, żeśmy były wtedy same odpowiedź jej była taka. Służące zresztą lubią czasem powiedzieć dziecku coś, czegoby przy starszych nie powiedziały zapewne. Zupełnie, jakby im samym przynosiła ulgę dobitna, niemiłosierna szczerość wypowiadanych wtedy słów.

— Co mi się stało? Nic... Poderżnęłam sobie gardło, jak mnie kochanek rzucił... Jak kurze... Ot tak... Brzytwą...

Rażące w słońcu szutrowisko stało się na mgnienie oka wyraźniej krupiaste i obce.

— Co się tak patrzysz? To wcale nie bolało... Tylko jak krew buchnęła zrobiło mi się strasznie gorąco... A leć zaraz z językiem do panny Emilii — warknęła niespodzianie — Jak mi komu słówko piśniesz, to cię już nigdy do kąpieli nie wezmę...

A kiedy i wtedy milczałam, Antonia, gorzkim obrzydzeniem krzywiąc bledsze jeszcze po kąpieli usta, otrząsnęła się nagle całem ciałem.

— I dlatego nie mogę kurcząt rżnąć... — powiedziała.

Beata Obertyńska



NOTATNIK

BULLA PAPIESKA

W dzień Wniebowstąpienia Pius XII ogłosił, iż rokiem Świętym będzie rok 1950 i wezwał wiernych bullą papieską, by zdążali w tym roku do Rzymu jako pielgrzymi pokoju: „Niech modlitwy wiernych głosi Ojciec Święty, przyczynią się do wyjednania dla rodu ludzkiego rzetelnej zgody serc i prawdziwego pokoju, które tylko Bóg zesłać może.“

Dlaczego zapowiedź ta następuje siedem miesięcy przed rozpoczęciem Roku Świętego? Jest to zgodne z tradycją, ustanowioną w 1300 roku przez papieża Bonifacego VIII. Nic dziwnego, trzeba było wówczas czasu, by wiadomość o ustanowieniu Roku Świętego dotrzeć mogła do wiernych a też długo trawać musiały przygotowania do odległej podróży.

Bulla odczytana będzie raz jeszcze w swym tekście łacińskim i włoskim w niedzielę 18 grudnia. Ostatnim rokiem Świętym na mocy Bulli Piusa XI był rok 1933. Był to rok Jubileuszu Odkupienia (1900 lat od Ukrzyżowania).

NARODY ZJEDNOCZONE IZRAEL I HISZPANIA

„Catholic Herald“ pisze: „W zeszłym tygodniu, Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych, „wśród godnego podziwu wybuchu zapału na galeriach publicznych“‘ (raport Timesa) uchwaliło 37 głosami przeciw 12 przyjąć Państwo Izraela na 59-go członka Narodów Zjednoczonych. W bieżącym tygodniu, Zgromadzenie odrzuciło wniosek o sankcjach dyplomatycznych przeciwko Hiszpanii, zabrakło bowiem potrzebnych dwuch trzecich głosów. W rezultacie, Hiszpania jest wciąż pod oficjalnym ostracyzmem, a Izrael korzysta z pełnego dyplomatycznego statutu i dobrej opinii... Możemy więc przyjąć ,że drwiny z postanowień Narodów Zjednoczonych przez państwo, które nie ma jeszcze ustalonych granic, a które wywalczyło je sobie zarówno rokowaniami. jak gwałtem, nie są przeszkodą do członkostwa Narodów Zjednoczonych — przynajmniej. gdy chodzi o Żydów. Ale gdy chodzi o katolickich Hiszpanów, stosuje się zupełnie inny zespół zasad.“ Jedynym rzeczywistym zarzutem wobec Hiszpanii jest to, że jest ona rządzoną przez jedną partię. „Ale to samo dotyczy Sowietów i państw pod sowiecką władzą“, które przecież do Narodów Zjednoczonych należą.

EISLER

Nic tak nie szkodzi prestiżowi władzy w krajach szczycących się wolnością jak powzięcie decyzji wbrew prawu ,by potem pod naciskiem tych czy innych prądów ją cofnąć. — Sprawa Eislera, szefa komunistów amerykańskich jest znana. Policja angielska schwyciła go na statku Batory w porcie angielskim. Eisler uciekł ze Stanów, gdzie wypuszczony został za kaucją 25.000 dolarów. Był oskarżony o złożenie kłamliwych zeznań przy wypełnianiu urzędowego schematu podania. Stany Zjednoczone żądały od Anglii ekstradycji (wydania) Eislera na zasadzie przestępstwa krzywoprzysięstwa, które daje do tego podstawę.

Rozsądny sędzia brytyjski nie mógł dopatrzyć się krzywoprzysięstwa u kogoś ,kto zapewnie zamierzając zwiać nie przyznał się do tego, iż jest komunistą. Radca prawny Departamentu Stanu jako dobry prawnik napewno podziela słuszność decyzji angielskiego kolegi, który kazał Eislera wypuścić. Oddano jednak prawdziwą przysługę propagandzie komunistycznej. „Patrzcie, mówią, opinia piątych kolumn jest na świecie tak silna, że Anglia musiała się przed jej wyrokiem ugiąć pomimo nacisków twierdzy kapitalizmu“.

Trzeba było oczywiście wplątać i Marksa do sprawy. Eisler w swej megalomanii opowiada, że wyraził oficerowi Scotland Yardu zdziwienie, iż kraj, który dał schronienie Marksowi, jego ściga. — Oficer o Mr. Marksie nie słyszał.

Na zapytanie reporterów, czy w Rosji wypuszczono by na wolność w podobnych okolicznościach konserwatystę lub liberała. Eisler gładko zełgał:

— „Jestem tego pewien“!

Najbardziej charakterystyczne jest zachowanie właściciela pubu, w którym Eisler pił piwo, (zbyt go nie zachwalając). „To jest, zauważył właściciel — miły i przyzwoity pub; mam nadzieję, że moi klienci mi to wszystko wybaczą“

W jego pojęciu taki pan, którego Scotland Yard schwycił za kołnierz ,pozostał kryminalistą.

OSTRZEŻENIE

Arcybiskup Pragi Józef Beran zagroził ekskomuniką katolikom pomagającym komunistycznemu rządowi czeskiemu w jego antykościelnej działalności. Krok ten wywołany został wydaniem przez rząd pisma o charakterze oficjalnego organu Kościoła katolickiego. Arcybiskup, b. więzień obozu koncentracyjnego w Dachau zwrócił się listownie dn. 17 maja do członka rządu prezesa Partii Ludowej Aloizego Petr‘a i „jego przyjaciół“ z ostrzeżeniem, że „jeżeli są jeszcze katolikami“ powinni pamiętać, iż stając się „wspólnikami akcji przeciw Kościołowi“, sami się z niego wykluczają.

Z listu tego wynika, że już 29 kwietnia Arcybiskup pisał do tegoż p. Petr‘a protestując, iż Partia Ludowa występuje jako partia Katolicka i skarżąc się na zamykanie szkół, na cenzurę książek do nabożeństwa i ustawienie aparatów podsłuchu w sali, w której biskupi zbierają się na narady. Odpis tego listu został rozesłany całemu duchowieństwu. Kanon 2334, jak donoszą z Rzymu, ustala, iż ekskomunika następuje automatycznie w stosunku do tych osób,

Dokończenie na str. 6.

MODRZEJEWSKA W LONDYNIE

Dokończenie ze strony 3

rzu katolickim w Kensal Green; na jego nagrobku, zresztą dosyć skromnym, widnieje napis, że ufundowali go „w dowód serdecznej pamięci i głębokiego żalu krewni, Albert Edward Książę Walii i inni przyjaciele“.

Następną po „Damie Kameliowej“ sztuką, w której Modrzejewska grała główną rolę, była „Maria Stuart“ Schillera. Przyjęcie ze strony publiczności było gorące; sztuka osiągnęła blisko sto przedstawień; książę Walii przybywał kilkakrotnie na przedstawienie. Krytyka była jednak nieco podzielona; niektórych recenzentów raziło z protestanckiego punktu widzenia zbyt przychylne potraktowanie nieszczęśliwej królowej Szkocji. W jednym z dzienników pojawiła się recenzja szczególnie ostra; okazało się później, że była ona inspirowana przez pewną wybitną osobistość. Co więcej, ten sam krytyk w innym piśmie zamieścił o „Marii Stuart“ recenzję przychylną; interpelowany tłumaczył się, że jest opłacany przez oba dzienniki i musiał stosować się do dawanych mu poleceń, nie mogąc ryzykować utraty stanowiska.

Modrzejewska żywiła dla Marii Stuart rodzaj kultu przez całe życie. Będąc w Edynburgu ze wzruszeniem — jak pisze — zwiedzała w zamku mały pokoik w którym Maria powiła syna, podobnie jak apartamenty królowej w pałacu Holyrood. Zbierała też gorliwie wszelkie materiały, dotyczące Marii Stuart.

Po serii przedstawień „Adrienne Lecouvreur“ spełniło się wreszcie najgorętsze, jakże długo żywione pragnienie Modrzejewskiej: zimą 1880/81 wystąpiła w głównej roli w „Romeo i Julii“ Szekspira. Recenzenci tym razem byli znowu jednomyślnie entuzjastyczni. Modrzejewska grą swą—i późniejszymi swymi występami w innych utworach Szekspira — zadała kłam tym krytykom, którzy twierdzili, że tylko artyści **of English stock** (tj. pochodzenia anglosaskiego) mogą należycie zrozumieć Szekspira jako Anglika z krwi i kości. Z tezą tą Modrzejewska rozprawia się stanowczo w swej autobiografii, podkreślając wszechludzki charakter utworów dramatycznych Szekspira.

Na wiosnę r. 1881 dzierżawa Court Theatre wygasła i zespół, w którym Modrzejewska grała, przeniósł się do Princess Theatre. W benefisie Modrzejewskiej, który odbył się w tym teatrze, uczestniczyły m. i. sławne w owym czasie aktorki: Sara Bernhardt i Ellen Terry.

Występy Modrzejewskiej nie ograniczyły się do Londynu. W październiku 1881 r. odbyła tournée po prowincji, grając kolejno w Sheffield, Birmingham, Liverpoolu, Leeds, Manchesterze i innych miastach; na zakończenie wystąpiła w Edynburgu i Glasgow. Skorzystała z tego objazdu, by zwiedzić gniazdo rodzinne Szekspira — Stratford on Avon. Po powrocie do Londynu, zawarłszy kontrakt z „managerem“ Haymarket Theatre, objęła główną rolę w „Odette“ Sardon. Nastąpił wyjazd do Polski; jej gościna na scenach Krakowa, Lwowa i Poznania przemieniła się w pasmo nieprzerwanych tryumfów. Stamtąd znów powróciła nad Tamizę, ale już na krótko; na jesieni 1882 r. opuściła na dobre Anglię po dwuletnim przeszło w niej pobycie.

Chłapowscy parokrotnie zmieniali swą siedzibę w Londynie. Zamieszkali początkowo w okolicy Piccadilly, ale w początkach sezonu zimowego 1880/81 przenieśli się — ze względu na bliskość Court Theatre — na Sloane Street, następnego zaś roku na Finchley Road. W mieszkaniach tych Modrzejewska co niedzielę urządzała przyjęcia dla grona artystów, głównie Polaków, wśród których rej wodzili bracia Reszkowie: Jan i Edward, śpiewaczka Marcelina Sembrich-Kochańska oraz słynny wówczas na całym świecie tenor Władysław Mierzwiński, o którym dziś nawet wszelka pamięć zamarła. Edward Reszke, Mierzwiński i Sembrich-Kochańska występowali wówczas — podobnie jak Modrzejewska — na scenach lub estradach Londynu; w stolicy brytyjskiej dokonał się w ten sposób niezwykły zlot najwybitniejszych polskich artystów scenicznych i muzycznych, do których doliczyć jeszcze trzeba Henryka Wieniawskiego, kompozytora i skrzypka.

Na tych niedzielnych przyjęciach, w atmosferze skrzącej się życiem i dowcipem, Modrzejewska odzyskała swą dawną werwę i humor. Wśród śpiewu i gry na fortepianie przyjęcia te przeciągały się niekiedy do trzeciej nad ranem. Modrzejewska wspomina, jakim strachem przejęło kiedyś ją i jej gości nagłe pojawienie się policjanta; było już grubo po północy i sądzili, że jest to skutek skarg sąsiadów, którym śpiewy i muzyka nie dają spać. Ku ogólnemu miłemu rozczarowaniu policjant oświadczył, że jeden z sąsiadów, zachwycony śpiewem Reszkego, prosił o dowiedzenie się nazwiska śpiewaka. Otrzymawszy żądaną informację policjant odszedł ze słowami: **„Go on, good night!“**. Okazało się poza tym, że wiele osób w sąsiedztwie otwiera specjalnie okna, by słuchać aryj Reszkego, i że w tym samym celu ludzie się gromadzą pod domem na ulicy.

Podczas swego pobytu w Londynie Modrzejewska porobiła wiele znajomości i przyjmowana była w wybitnych domach angielskich. Obok Tennysona, z którym Chłapowscy utrzymywali szczególnie żywe stosunki, do znajomych ich w tym czasie należeli poeci Robert Browning i Matthew Arnold, malarze G. F. Watts i Laurence Alma Tadema, wielu polityków, wojskowych i innych osobistości. Na przyjęciu, zorganizowanym przez znanego wówczas mecenasa sztuki, p. Hamiltona Aidè, Modrzejewska gra w krótkiej sztuce, specjalnie na ten wieczór napisanej przez gospodarza domu; podczas obiadu, który potem nastąpił, toczy rozmowę z ks. Walii na temat sztuki teatralnej i wypowiada pogląd, że Anglia powinna zdobyć się na stały teatr narodowy, w rodzaju tych, jakie istnieją we wszystkich niemal krajach kontynentu. Dopiero teraz — po siedemdziesięciu latach — idea ta ulega urzeczywistnieniu.

*

We wrześniu 1882 r. Modrzejewska udaje się na statku „Arizona“ do Stanów Zjednoczonych i odtąd kraj ten staje się jej drugą, przybraną ojczyzną. Życie jej upływa na objazdach artystycznych; ustawicznie przemierza wzdłuż i wszerz wielką republikę północno-amerykańską. Ostatnich lat kilkanaście poświęca przeważnie Szekspirowi; repertuar jej w tym zakresie obejmuje piętnaście tragedii i komedii, w tym „Hamleta“, „Makbeta“, ”Otella“, „Romeo i Julię“, „Henryka V“, „Kupca Weneckiego“, „Wieczór Trzech Króli“ i „Cymbelinę“.

Odwiedza również od czasu do czasu Wielką Brytanię. Na wiosnę r. 1884, po występach w londyńskim Lyceum (na Strandzie), udaje się do Dublina, gdzie podejmowana jest szczególnie gorąco przez społeczeństwo irlandzkie.

Do końca życia nie zatraca najbliższych związków z Polską. Droga do Warszawy jest dla niej zamknięta od r. 1893, kiedy na międzynarodowym kongresie kobiet w Chicago wygłosiła przemówienie o położeniu Polaków pod rządami carskimi; dowiedziawszy się o tym, generał-gubernator Hurko zabrania jej raz na zawsze wstępu w granice Królestwa Polskiego. Przyczynia się do tego niestety denuncjacja jednej z ówczesnych aktorek, zazdrosnych o powodzenie Modrzejewskiej. Modrzejewska za to często — aż po późne swe lata — przyjeżdża na występy w teatrach Lwowa, Krakowa i Poznania. Gdy tylko może, zagląda też pod Tatry, do których była szczególnie przywiązana; dziełem jej jest szkoła koronkarska w Zakopanem, istniejąca bodaj po dziś dzień. Swym niesłabnącym nigdy uczuciom polskim daje Modrzejewska wyraz w autobiografii, pisanej u schyłku życia.

Ostatnie lata spędza z mężem w samotnej swej siedzibie, położonej wśród stepów w Orange County w południowej Kalifornii. W maju r. 1905 odbywa się w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku jej pożegnalny benefis, zorganizowany staraniem J.I. Paderewskiego. Modrzejewska umiera 8 kwietnia 1909 r. w wieku lat 65; pochowana została w Krakowie. Mąż, wierny towarzysz jej artystycznych wysiłków i tryumfów przeżył ją o lat kilka; w r. 1910 wydał drukiem w językach polskim i angielskim jej autobiografię.

*

Modrzejewska miała wszelkie niemal naturalne dane, by zostać jedną z pierwszych artystek scenicznych świata: wrodzony talent dramatyczny, doskonałe warunki zewnętrzne, w szczególności piękną, majestatyczną postawę i rzadki urok kobiecości — a także siłę woli i wytrwałość, która pozwalała jej pokonywać ciężkie nieraz przeszkody; dzięki temu zdołała wykształcić swój niezbyt silny z natury głos i opanować trudności języka angielskiego. Obok tych warunków przyrodzonych wiele jej niewątpliwie dało obcowanie z wielkimi dziełami literatury i przebywanie w otoczeniu najwybitniejszych przedstawicieli kultury polskiej owego czasu. Wśród grona osób, z którymi stykała się często i długo, znaleźli się Kornel Ujejski i dr. Tytus Chałubiński, Henryk Sienkiewicz i Józef Chełmoński, Adam Chmielowski—późniejszy Brat Albert z tatrzańskich Kalatówek — i Stanisław Witkiewicz. W latach warszawskich przyjaźniła się z panią Kalergis, muzą Norwida, pół-Polką, pół-Rosjanką. Pod koniec życia wielkim wydarzeniem stało się dla niej zetknięcie ze Stanisławem Wyspiańskim i jego utworami; grała główne role w jego „Warszawiance“ i „Protesilausie i Laodamii“. Ta pieczęć ducha polskiego w jego najdostojniejszych przejawach, skojarzona z głęboką religijnością Modrzejewskiej, niewątpliwie wycisnęła niezmazalne piętno na jej sztuce aktorskiej. Płynęła stąd „idealizująca“ interpretacja postaci w jakie się wcielała na scenie — rys, podkreślany przez wszystkich krytyków — oraz ów sens tajemny a istotny, jaki potrafiła nadać każdemu słowu — niemal każdej zgłosce — i każdemu swemu gestowi.

Kiedy śledzimy dziś koleje życia Modrzejewskiej, Conrada-Korzeniowskiego, czy w jeszcze większej mierze Szopena przenikać nas musi gorzka, choć zarazem radosna refleksja: jakimże bogactwem wspaniałych talentów rozkwitłaby Polska, gdyby się stało jej udziałem choćby pięćdziesiąt lat nieprzerwanego pokojowego rozwoju i gdyby zdołała ostatecznie przemóc ponawiające się w jej dziejach nawroty bezwładu i niemocy twórczej.

Bogusław Przeradzki

Z LISTÓW DO REDAKCJI

„Linia upodlenia“

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo mi jest sympatyczny z gorącego serca płynący list Pani Borowskiej w obronie Dobraczyńskiego. Uważam tylko, że jeżeli komuś się przypomina ewangeliczne słowa „nie sądźcie abyście nie byli sądzeni“, to samemu należy także tego kogoś sądzić ostrożnie a nie bojowo.

Ale pomijam sprawę formy, idzie przecież o treść. P. Borowska nie kwestionuje, bo i nie może kwestionować sensu mojego artykułu **„Linia upodlenia“**. Chce usunąć spod jego oceny Dobraczyńskiego. Powiem tyle: byłbym naprawdę szczęśliwy, gdybym mógł przyznać jej rację, gdybym mógł sobie powiedzieć, że się pomyliłem, uniosłem, skrzywdziłem człowieka. Niestety, jestem przekonany o słuszności swej oceny.

Artykuł „Milczenie Jezusa“ można wziąć „at face value“ w Londynie. Czytelnik krajowy pisma reżymowego, organu grupy stojącej na gruncie komunistycznego programu społecznego, pisma nie uznawanego za katolickie przez episkopat, w okresie walki reżymu wymierzonej ze wszech stron przeciw episkopatowi, ten artykuł musiał zrozumieć tak jak ja. I z tego sobie autor i redaktor niewątpliwie zdawali sprawę. Jeżeli się przeczyta całą prasę krajową z tamtych dni, wątpliwości niestety nie ma.

Powiem jeszcze tylko, że sytuacja w Kraju jest rzeczywiście bardzo trudna, ale nie dlatego żeby była skomplikowana. Jest ona, niestety, aż nadto prosta. Skomplikowana może być tylko sytuacja poszczególnych ludzi.

Ostateczne rozstrzygnięcie tego sporu, w którym z całego serca życzę zwycięstwa Pani Borowskiej, nie sobie, zostawić musimy czasowi.

Wojciech Wasiutyński

Opinia o wojsku

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W przedostatnim numerze ŻYCIA z przyjemnością przeczytałem piękny reportaż p. Jana Tokarskiego p.t. **„Maria wraca do Anglji“**. Natknąłem się jednak na zdanie, które sprawiło mi ogromną przykrość.

Była to opinia o wojsku:

...„wspaniałe przedsiębiorstwo gigantycznego marnowania czasu“.

W miłym i pogodnym opisie pielgrzymki podziałało to na mnie jak „zgrzyt żelaza po szkle“.

Użalam się na tę opinię i protestuję przeciwko niej. Bowiem najlepszych dwadzieścia prawie lat mego życia (od 19-go roku życia) poświęciłem pracy nad wychowaniem i wykształceniem żołnierza i — nie wdając się w długie dyskusje — absolutnie nie zgodzę się, by było „marnowaniem czasu“.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku

A. Brzozowski

NOTATNIK

(Dokończenie ze strony 5)

które „wydają prawa i dekrety skierowane przeciw wolności religii i prawom Kościoła a także tych którzy bezpośrednio lub pośrednio zabraniają wykonania obrządków religijnych wewnątrz czy zewnątrz gmachów kościelnych“. Kanon 2345 natomiast przewiduje ekskomunikę tych, którzy „przywłaszczają sobie majątek lub prawa, przynależne Kościołowi Rzymsko-Katolickiemu.“

MISJA ANGLIKAŃSKA W LONDYNIE

Kościół anglikański przeprowadza teraz od szeregu miesięcy przygotowaną „misję w Londynie“ (Mission to London), mającą na celu „przywrócić chrześcijaństwu życiu opornych i obojętnych“. W misji bierze udział 150 „misjonarzy“ i 100 000 „pomocników świeckich“. Koszta finansowe misji wyrażają się podobno „sumą pięciocyfrową“. Nie-anglikańscy mieszkańcy Londynu wiedzą o misji anglikańskiej głównie dzięki szeroko rozklejanemu afiszowi „Recovery starts within“ (odrodzenie zaczyna się od wewnątrz) i głośnikom na samochodach.

„Catholic Herald“ pisze na temat misji anglikańskiej: „w dzisiejszych czasach jest to z pewnością rzecz chwalebna, starać się doprowadzić bezbożne i obojętne pokolenie do jakiegoś pojęcia o prymacie wartości duchowych. Można rozsądnie i nie przez brak chrześcijańskiej „caritas“ wątpić, czy kościół urzędowy, ze swoim doktrynalnym zamętem i słabością jest zdolny do przywrócenia rzeczywistej wiary naszym rodakom... Ale w obrębie tego Kościoła jest wiele szlachetnych dusz...

„żeby taka misja oddziałała na przeciętnego materialistę i agnostyka, to jest z pewnością przedmiotem naszej modlitwy. Jest to już rzeczą naszą, a w szczególności rzeczą naszych misjonarzy, gorliwie pracujących w całym kraju, by doprowadzić do końca takie dzieło, przedsięwzięte przez ludzi dobrej woli, którzy, da Bóg, poprowadzeni jeszcze zostaną ku przyjęciu wszystkich konsekwencyj i całego znaczenia prawd chrześcijańskich, które tak odważnie głoszą“.

PSIA PSYCHOANALIZA

180-funtowy dog, wabiący się Congo, pogryzł boleśnie swoją panią, Mrs. McDermott z Los Angeles. Władze powiatowe nakazały zabicie psa jako „złośliwego i niebezpiecznego zwierzęcia“. Napłynęło szereg listów i telegramów protestacyjnych, Władze zmieniły zdanie i poleciły, zamiast zabijać doga, poddać go kuracji psycho-analitycznej.

Jak ten świat idzie naprzód po drodze postępu moralnego, no nie? Dawniej pies gryzł — psa do rakarza i koniec. Teraz zamiast do hycla pójdzie do instytutu badań psychicznych na długie zabiegi. I z człowiekiem podobnie: dawniej przestępcy stryczek na szyję i już, teraz wezmą do Bezpieki, poddadzą kuracji psychoanalitycznej i po kilku miesiącach nie tylko wyznaje najstraszniejsze zbrodnie, z których sam nie zdawał sobie sprawy, że je ma zamiar popełnić, ale jeszcze będzie zaklinał, żeby go zabić czymprędzej.

Jest tylko ta zasadnicza różnica: W Sowietach uważają, że człowiek nie ma duszy, tak samo jak pies; w Ameryce uważają, że człowiek ma duszę, tak samo jak pies.

A nam się po staremu zdaje, że pies, chociaż przeważnie bardzo miły zwierz, nie ma takiej duszy jak człowiek, a człowiek chociaż przeważnie bardzo niemiły zwierz, ma jednak duszę nieśmiertelną...

ZA DRUTAMI

Mimo zawiłych dyskusji o dwóch rodzajach demokracji, wschodniej i zachodniej, sprawa nie jest tak skomplikowana jakby się zdawało. Są pewne najbardziej zewnętrzne oznaki, zrozumiałe dla każdego człowieka, choćby nie znał języka miejscowego ani nic nie słyszał przedtym.

Takim znakiem naprzykład jest granica. Granice Sowietów to pas ogołocony z wszelkiej roślinności, umocniony rowami i zasiekami, najeżony wieżami strzelniczymi. Między państwami europejskimi czy amerykańskimi takich granic nie było. Teraz linia wykarczowanej roślinności i drutów kolczastych posunęła się w samo serce Europy.

W chwili gdy to piszemy siekiery huczą na granicy czeskiej od Bratysławy po Cheb. Zwoje drutu kolczastego leżą przygotowane na granicy Austrii i Bawarii. Taka sama granica odcina już Węgry od zachodu.

DYSKUSJE

JĘDRZEJ GIERTYCH

JESZCZE O WSCHODZIE I ZACHODZIE

ARTYKUŁY p. Pałenicy a zwłaszcza p. Rzeczyńskiego, skłaniają mnie do zabrania jeszcze raz głosu w dyskusji na temat Wschodu i Zachodu.

Obaj autorzy, a zwłaszcza p. Rzeczyński, twierdzą, że Polska nie należy ani do Wschodu ani do Zachodu, oraz głoszą, że powinna ona stać się mostem między Wschodem i Zachodem i dążyć między nimi do syntezy. Otóż gdy się takie postulaty głosi, trzeba bardzo ściśle dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, określić, co się przez te postulaty rozumie. Jestem uderzony nieścisłością sformułowań obu autorów. Co to jest Wschód i Zachód? Czy Polska ma dążyć do syntezy między cywilizacją europejską, a chińską? Albo między filozofią św. Tomasza z Akwinu, a doktryną leninizmu-stalinizmu? Gdy się dokładnie nie mówi o co chodzi, to oczywiście i takie wnioski będą na miejscu.

Pan Pałenica rozwodzi się obszernie o pierwiastkach wschodnio-chrześcijańskich w życiu polskim i ilustruje to faktami z dziedziny liturgii i sztuki. O ile więc go dobrze rozumiem, mówiąc o Wschodzie i Zachodzie, ma on na myśli wschodnie i zachodnie chrześcijaństwo. Otóż z łatwością można się zgodzić z twierdzeniem o rozległych wpływach świata wschodnio-chrześcijańskiego (grecko-prawosławnego) na wiele dziedzin naszego życia, a więc także i na naszą liturgię i sztukę, jakkolwiek z drugiej strony, nie da się zaprzeczyć, że zarówno nasza liturgia, jak i nasz n.p. barok, mimo wszyskich wchodnio-chrześcijańskich wpływów są czymś, co w swoim głównym zrębie jest zachodnie. Bez trudu również można i trzeba się zgodzić z poglądem o szczególniej wzej misji, jaką Polska ma na polu zbliżania do siebie obu głównych odłamów chrześcijaństwa, od wieków zresztą misję tę spełniała: największe i najtrwalsze na przestrzeni dziejów dzieło na polu zjednoczenia kościołów, jakim jest unia brzeska, zrodziło się na ziemi polskiej i pod decydującym wpływem całej, wspaniałej plejady wielkich, choć niedocenianych polskich umysłów, takich, jak ks. Skarga i król Zygmunt III. Ale czym innym jest dążenie do usunięcia rozłamu w chrześcijaństwie a czym innym — dążenie do mieszania ze sobą sprzecznych pierwiastków cywilizacyjnych. Można zużytkować — i każda cywilzacja je zużytkowywała — obce pierwiastki w sztuce; działają one z reguły zapładniająco i twórczo. Można także — i trzeba — przechowywać z pietyzmem wszystko co pod wpływem chrześcijańskiego wschodu zabarwiło swoiście polską o miano łacińskiej, katolickiej liturgii. Ale trzeba się strzec jak ognia wpływów cywilizacii bizantyjskiej, turańskiej i żydowskiej — rozumiem je w duchu terminologii Feliksa Konecznego — na naszą cywilizację. Jeśli pozwolimy na to, by n.p. zapuściło w Polsce korzenie turańskie pojmowanie stosunku między jednostką (wzgl. społeczeństwem) a państwem (jakże niebezpieczną przeszliśmy już pod tym względem w ostatnich dziesięcioleciach ewolucję!), albo bizantyjskie pojmowanie stosunku między Kościołem i państwem, to jako naród, przestaniemy być sobą. Pod względem cywilizacyjnym jesteśmy i musimy pozostać narodem zachodnim, to znaczy narodem przynależnym do tego, co Koneczny nazywa cywilizacją łacińską.

P. Rzeczyński pisze, że przybysza z Zachodu uderza wschodniość Polski. Odpowiem na to: tylko przybysza materialistycznego, uważającego za wyraz cywilizacji zachodniej jedynie dorobek cywilizacji materialnej. Albo też przybysza powierzchownego, lub bawiącego w Polsce przelotnie, a więc nie zdolnego dociec spraw głębszych. Jest niemal regułą, że bardziej wnikliwych obserwatorów z zachodu — o ile są prawdziwymi ludźmi zachodu, to znaczy ludźmi przepojonymi cywilizacją łacińską — uderza zachodniość i łacińskość Polski. Podam tu jeden tylko przykład: margrabianka Castellane, Francuzka, która wyszła za jednego z berlińskich, dość zniemczonych Radziwiłłów i dopiero po 8 latach pobytu w Berlinie wyjechała po raz pierwszy do Nieświeża gdzie na stałe osiadła, napisała w swoich pamiętnikach, że „kraj ten, kulturą swoją znacznie górujący nad Prusakami przypomina mi mój kraj klasyczny: Francję". („Soúvenirs de la princesse Radziwiłł, née Castellane, 1840 — 1873. Une francaise à la cour de Prusse". Z przedmową Jules Cambonéa). Litwa była zdruzgotana przez represje powstaniowe, Nieśwież był obrazem nędzy i upadku. Ale dla autorki pamiętnika, kobiety mądrej i cywlizowanej, zacofana i uboga Litwa była bardziej cywilizowana od potężnego i wspaniałego, bismarkowskiego Berlina. — A przypomnijmy sobie, co o Polsce sądził Chesterton!

Pan Rzeczyński pisze o potrzebie katolickiego uniwersalizmu, obejmującego zarówno wschód, jak i zachód. Ale to jest całkiem inna sprawa! Nie mieszajmy pojęć! Katolicki uniwersalizm obejmuje wszystkie narody i niemal wszystkie cywilizacje. Mieści się w jego ramach i cywilizacja chińska, czy japońska, i młode życie murzyńskie w Kongo, czy Ugandzie, i prymityw eskimoski. Mieszczą się także w jego ramach — zwłaszcza wszystkie tradycje chrześcijańskie i wszystkie obrządki: zarówno łaciński we wszystkich swoich odmianach, jak grecki, jak koptyjski, syryjsko-malabarski, czy inne. Jeśli w pewnych kołach polskiego społeczeństwa niedostateczne jest zrozumienie tego, że obrządek wschodni jest narówni równouprawnioną formą kultu katolickiego, jak obrządek łaciński — i jeśli niedostateczne jest zrozumienie tradycyjnej misji naszego narodu, jakim jest budowanie pomostu między obu odłamami chrześcijaństwa (unia brzeska!) — to pracujmy nad tym, aby to naprawić! Ale nie wyciągajmy stąd wniosku, że możemy bezkarnie podważać łacińskie podstawy naszej cywilizacji.

Cywilizacja nasza jest w swej najrdzenniejszej treści łacińska. Wywodzi się ona zarówno z wpływu Kościoła, jak z dorobku cywilizacji starożytnego Rzymu. U jej podwalin leży zarówno rzymskie prawo cywilne, jak reformy kluniackie, jak wreszcie filozofia św. Tomasza. Cywilizacja nasza jest dziś zagrożona. Nie osłabiajmy jej przez kwestionowanie jej podstaw — ale jej zawzięcie brońmy. I niezachwianie przy podstawach tej cywilizacji stójmy.

Idzie na nas od szeregu pokoleń — z Rosji groźny wpływ turański. Idzie także, głównie po przez Prusy, wpływ tego, co Koneczny nazywa cywilizacją bizantyńską, a co w istocie wywodzi się z pogańskich, biurokratyczno - autokratycznych imperiów przedchrześcijańskiego Bliskiego Wschodu. Z wpływami tymi nie mamy szukać syntezy, ale mamy się przed nimi bronić. Do zasad cywilizacji łacińskiej należy, że Kościół nie jest organem władzy państwowej. Że wola władcy nie jest ponad moralnością i prawem. Że społeczeństwo jest czymś odrębnym od państwa. Że jednostka ma prawo być wolną. Że prawa rodziny są nienaruszalne. Że moralność obowiązuje zarówno w życiu prywatnym jak i publicznym. Że prawo jest wyrazem poczucia słuszności społeczeństwa, a nie wytworem samowoli władzy, czy państwa. Że jednostka ma prawo do własności. I tak dalej. To są zasady cywilizacji łacińskiej. Zasadom tym wpływ turański i bizantyński zagraża. O zasady te naród nasz toczy dziś śmiertelną walkę. Zasad tych musimy bezkompromisowo bronić. Niesprecyzowane i mgliste teorie o tym, że mamy się od Zachodu odwrócić są w praktyce — torowaniem drogi rozwiązaniom, które polegają na odstąpieniu od tych zasad.

Jeszcze jedno. Pan Pałenica pisze, że narody żyjące na zachodzie, czy też omywane od zachodu przez morze, mają z samej natury w swej cywilizacji cechę „wieczorowości", bo przebywanie „pod pamięcią rychłego zachodu" sprawia, że tam „człowiek wiecznie się spieszy"; natomiast kraje wschodnie mają, odwrotnie, cechę poranności. — Jako trochę marynarz, mogę zapewnić p. Pałenicę, że jest w błędzie: słońce na całym świecie jednakowo wschodzi i zachodzi. Libona, która codzień patrzy na zachodzące w oceanie słońce ani trochę więcej się nie spieszy od New-Yorku, który widuje słońce, jak się z oceanu dźwiga. A Chiny, które leżą na zachód od Kalifornii, nie są od niej ani trochę bardziej zachodnie. Wschód i zachód, w rozumieniu, o którym mówimy, to nie jest pojęcie geograficzne, ale cywilizacyjne. To też ściślej bądźmy ściśli i zaprzestańmy tych mglistych, geograficznych określeń, a mówmy o cywilizacjach: łacińskiej, turańskiej, czy innych.

Jędrzej Giertych

OD REDAKCJI:

Zamieszczamy polemikę p. J. Giertycha z artykułem p. Palenicy i listem p. Rzeczyńskiego, mimo, że wyrażone tu poglądy p. Giertycha w wielu punktach nie odpowiadają zupełnie stanowisku Redakcji ŻYCIA, n.p. w poglądzie i ocenie kultury bizantyjskiej, w rzekomej „zachodniości", czy „łacińskości" stanowiska, że „Kościół nie jest organem władzy państwowej" itp. Do sprawy „Wschód-Zachód" powrócimy w sposób zasadniczy.

PHILADELPHIA ORCHESTRA

Z WIZYTĄ do Anglii przybyła Philadelphia Symphony Orchestra. Objeżdża Londyn i prowincje i dając 28 koncertów w ciągu 27 dni. Tempo całkiem zdrowe.

Obecny dyrygent tej orkiestry objął swe stanowisko już w 1936 r. A jednak za zespołem tym idzie wielki cień irlandzkiego Polaka, Leopolda Stokowskiego. Ciągle jeszcze spotykam ludzi, którzy przyznają się, że dopiero łącznie z obecną wizytą tej orkiestry dowiadują się, że Eugene Ormandy już od 13 lat jest jej stałym dyrygentem.

Sławę, która ta orkiestra cieszy się na całym świecie, zawdzięcza głównie okresowi „panowania" Stokowskiego, nie tylko wyśmienitego dyrygenta, ale i jednego z lepszych reżyserów przede wszystkim — publiczności, dbającego bardzo o takie szczegóły jak atmosfera i różne uwodzicielskie sztuczki, obliczone na porwanie słuchacza. Właśnie za Stokowskiego Filadelfijska Orkiestra symfoniczna pierwszy raz nagrała płyty, nadawała przez radio i ukazała się w dwu filmach — z drugiego z nich nawet otrzymała swój popularny przydomek „Hundred men and a girl Orchestra".

Niewątpliwie wspomniane występy nie przyczyniły się do podwyższenia poziomu zespołu, natomiast właśnie tymi sposobami trafiła do serc tak szerokich mas, o jakich nawet nie śnił jej założyciel Fritz Scheel.

Od samego założenia orkiestra posiada najlepszych muzyków i dyrygentów, początkowo importowanych z Europy. Dziś chwali się takimi nazwiskami jak Saint Saens, Kreisler Hofmann, Rubinstein, Bauer, Toscanini.

Filadelfia cały czas nie tylko była dumna ze swojej orkiestry, ale i rzeczywiście dbała o nią, popierając ją, wyciągając z bankructwa publicznymi składkami. Odpłaciła się swemu miastu właśnie Stokowskim uwielbianym bożyszczem. To też kiedy Stokowski zrezygnował ze stanowiska dyrygenta, pesymiści zaczęli rozmyślać o samobójstwie. Aż los zdarzył, że na podium całkiem przypadkowo, wszedł pewnego dnia nikomu nieznany Ormandy. — I rewolwery i sryczki pochowano z powrotem do szuflad.

Chcecie wiedzieć, co było dalej? Pójdźcie posłuchać Philadelphia Symphony Orchestra. Napewno odwiedzi w tych dniach Waszą okolicę.

Wiedzieć jednak o niej tylko to, że menager, który ją zaangażował na występy w Anglii traci na tym £35.000, że każda minuta ich drogi ze Stanów na Wyspę (każdy za biletem pierwszej klasy!) kosztowała £100, że Ormandy zastrzegł w kontrakcie iż nie zacznie dyrygować, jeśli na 4 godziny przed występem nie otrzyma jako zakąski dwufuntowego steak'u — to jeszcze za mało.

ah

KRONIKA

KATOLICY W BERLINIE

W Berlinie żyje dziś 348 257 katolików. Zważywszy, że była stolica Niemiec posiada ludność paromilionową, należy stwierdzić, że katolicy stanowią wśród tej ludności odsetek stosunkowo nieduży. Przed rokiem 1914 liczba samych tylko katolików-Polaków w Berlinie dochodziła do 100 000.

Od roku 1925 Berlin jest siedzibą katolickiego biskupa. Biskupem berlińskim jest dziś kardynał von Preysing.

POKONANIE BARBARZYŃSKIEGO ZWYCZAJU

Wśród murzynów w Kongo panował ongiś zwyczaj, że jeżeli umierała karmiąca matka, to dzieci jej zostawały uduszone. Ostatni taki wypadek zdarzył się w roku 1938. Rozszerzanie się katolicyzmu w Kongo — a także i represje władz — położyły zwyczajowi temu kres. Powstało jednak zagadnienie, co zrobić z uratowanymi od śmierci niemowlętami? Odnoszono je do sierocińców do misyj. Dopóki jednak w sierocińcach tych musiano karmić je sztucznie, śmiertelność wśród nich była bardzo znaczna. Jedyne racjonalne rozwiązanie, jakim było karmienie przez mamki, było natomiast przez długi czas niewykonalne, bo w pojęciach murzyńskich karmienie cudzego dziecka własną piersią jest nieprzyzwoitością (i nawet Murzynki-katoliczki uważały, że „nie wypada" im się tego podejmować. Misjonarze jednak pracowali nad tym, by to uprzedzenie przełamać. Stopniowo, pojedyńcze, odważniejsze jednostki — ryzykując nawet że zostaną, z powodu „nieobyczajnego" zachowania, porzucone przez mężów — zaczęły sieroty karmić. Dzisiaj, nietylko katoliczki, ale i poganki karmią już sieroty bez obawy, a misje poumieszczały już setki małych sierot po rodzinach murzyńskich na stałe, wychodzą bowiem z założenia, że adoptowanie przez jakąś rodzinę zapewnia dziecku przyszłość szczęśliwszą, niż wychowanie w sierocińcu.

FRANCUZI KANADYJSCY — NARODEM LICZNYCH RODZIN

Jest rzeczą wiadomą, że kilkomilionowa społeczność franko-kanadyjska, stanowiąca większość ludności w kanadyjskiej prowincji Quebec a poważne mniejszości w innych prowincjach, jest jednym z najwierniej katolickich społeczeństw na świecie. Niezachwiana katolickość Francuzów kanadyjska przejawia się także i w przykładności ich życia rodzinnego. Francuska Kanada — to kraina licznych i pobożnym życiem żyjących rodzin,

We wrześniu 1948 roku jeden z księży franko-kanadyjskich przeprowadził ankietę wśród 3940 rodzin. Wśród nich tylko 1669 miało mniej niż 10 dzieci. Z pozostałych 2271 rodzin, mających po 10 dzieci, lub więcej, tylko 1128 się rozleciało (to znaczy dzieci dorosłe wyjechały w dalsze strony i t.p.: oczywiście, nie ma tu mowy o „rozejściu się" rodziców). Natomiast pozostałe 1143 „licznych" rodzin żyło dalej mniej więcej razem. Była wśród nich jedna rodzina, mająca 24 dzieci, jedna — 22, trzy — po 21, 4 — po 20, 14 — po 19, 17 po 18, 26 po 17, 44 po 16, 81 po 15, 85 po 14, 13 po 13, 205 po 12, 243 po 11 i 290 po 11. Powtarzamy: statystyka ta dotyczy tylko rodzin, które **mieszkają razem.**

A teraz zastnówmy się, po ile rodzin miewają Polacy na emigracji tu w Wielkiej Brytanii? Czy wiele jest tu polskich rodzin, które mają po 10 dzieci, lub więcej — i czy wogóle takie rodziny polskie tu są? I mamy odwagę wciąż o sobie twierdzić, że jesteśmy społeczeństwem katolickim!

JÓZEF KOWIEŃSKI

BOLSZEWIZACJA DUCHOWA EUROPY

W JEDNEJ ze swoich mów z r. 1931 Stalin uzasadniając konieczność uprzemysłowienia kraju, mówił: „Historia starej Rosji polegała między innymi i na tym, że ją bezustanne bito. Bili chanowie mongolscy. Bili bejowie tureccy. Bili feodałowie szwedzcy. Bili panowie polsko-litewscy. Bili wszyscy — za zacofanie“...

Ten swoisty stosunek do przeszłości — z zupełnym pomieszaniem tła historycznego i często odwróceniem prawdy — świadczy, że widocznie Związkowi Sowieckiemu sądzone jest jeszcze „być bitym“, skoro zacofanie umysłowe i pierwotność duchowa jego ludności jest na tym poziomie, że za „ewangelię“ sowiecką uchodzić może „Krótki kurs“ „Historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)“.

Nie poruszalibyśmy tego tematu, gdyby nie okoliczność, że ową ewangelię sowiecką chce narzucić do wierzenia Europie rząd sowiecki, wydając ją we wszystkich prawie językach świata. Przyczym tej próby ogłupienia podbitej przez Związek Sowiecki Europy łatwo się doszukać w chęci przygotowania terenu do przyszłej rozprawy orężnej, w chęci „urobienia“ psychiki ludności, w chęci narzucenia nauki marxizmu-leninizmu-stalinizmu zniewolonym narodom.

Centralny Komitet Partii Komunistycznej doszedł przed paru laty do wniosku, który dziś ponownie aktualizuje, że trzeba dać swoim zwolennikom „nowy, potężny, ideowy oręż bolszewizmu“, a jest nim właśnie ów „Krótki Kurs“ historii, będący „środkiem do wychowania inteligencji bolszewickiej“.

Instrukcja partyjna stwierdza, że w Sowietach był i do dziś dnia pozostał jeszcze „dziki, chuligański i niebezpieczny“ stosunek do inteligencji. Zapobiec temu może tylko studium „ewangelii bolszewickiej“, owego „Krótkiego Kursu Historii“, którego autorem jest — według jednej wersji — Stalin — według innej wersji — trzej pracownicy Komitetu Centralnego Partii pod kierownictwem Stalina. Studium tej „genialnej“ książki będzie „wzmocnieniem pewności co do ostatecznego zwycięstwa komunizmu na całym świecie“ — jak zapewniają uroczyście autorzy. Przyznać trzeba, że stosunek autorów podręcznika do czytelników, a co więcej, i do historii jest, mówiąc słowami bolszewików, „dziki, chuligański i niebezpeczny“.

Kiedy podręcznik mówi o walce proletariatu w Rosji, o zajściach i strajkach, dążących do przewrotu państwowego, a później do przeniesienia „pożaru rewolucji“ na świat cały, wymienia takie ośrodki rosyjskich ruchów rewolucyjnych, jak ...Warszawa, Łódź, Ryga, Białystok.

Kiedy podręcznik stwierdza, że konstytucja sowiecka proklamowała **swobodę praktyk religijnych**, oznacza to (choć jest przemilczane!), że z państwa sowieckiego wypędzono Boga, wymordowano w znacznej mierze duchowieństwo, osadzono biskupów w więzieniach, innych deportowano na Wyspy Sołowieckie, odebrano pracownikom kultów wyznaniowych prawa wyborcze (i tak wątpliwe!), zapędzono młodzież do organizacji bezbożników.

Kiedy podręcznik nakazuje odróżnianie **wojen sprawiedliwych od niesprawiedliwych** to stwierdza, że Rosja carska prowadziło wojny tylko niesprawiedliwe. Dążyła ona do oderwania od Austro-Węgier Galicji Wschodniej, chciała zawładnąć, obok posiadanych już krajów bałtyckich, Bosforem i Dardanelami, trzymała w niewoli Polskę, gnębiła Finlandię i t.p. Rosja sowiecka natomiast, proklamowała prawo do oddzielenia się od niej narodów Rosji (?!) prawo ich do niepodległego bytu, ale pod warunkiem każdorazowego uznania tego prawa przez proletariat rosyjski... Podręcznik jednak nie dodaje, że Rosja sowiecka zrealizowała w pełni program zaborczy rządu carskiego i że armia czerwona potwierdzała czynem zbrojnym to prawo narodów do samodzielności państwowej, rozpoczynając dwukrotnie w ciągu lat dwudziestu, pochód na kraje bałtyckie, na Polskę i Ukrainę z rządami bolszewickimi dla tych krajów w zanadrzu. **Rosja sowiecka prowadziła tylko wojny sprawiedliwe, a wojnami sprawiedliwymi są wszystkie prowadzone przeciwko krajom kapitalistycznym, których istnienie zagraża Związkowi Sowieckiemu, pragnącemu wyzwolić te kraje z ucisku kapitalistycznego.**

Nacjonalizacja czy upaństwowienie przemysłu w imię socjalizacji kraju i dobra jego obywateli pod pokrywką pięknych słów i zasad polega na zwykłym rabunku cudzej własności bez odszkodowania i zniewoleniu robotnika przez pozbawienie go prawa do strajku i prawa wyboru pracy.

Kolektywizacja rolnictwa w imię **dobra chłopa** nie oznacza nic innego, niż wymordowanie właścicieli ziemskich, zagrabienie prywatnych majątków, rozdanie chłopom ziemi, by później zniszczyć zamożniejszych, a biedotę i małorolnych wyzuć z resztek karłowatych gospodarstw, z konia i krowy, a w opornych okręgach jak Ukraina, wywołać sztuczny głód, pociągający za sobą śmierć głodową kilku milionów ludzi.

Kiedy zasłużeni twórcy przewrotu bolszewickiego i obsypani orderami marszałkowie Związku Sowieckiego wykazują „ambicje napoleońskie“, lub „prawicowe odchylenia“ — doktryna leninizmu-stalinizmu ma gotową formułkę, oskarżającą ich o zdradę państwa, zmowę z obcym wywiadem, dążność do oderwania Białorusi na rzecz Polski, Ukrainy na rzecz Niemiec, części kraju Przymorskiego (Wschodnia Syberia) na rzecz Japonii.

Przewrót październikowy w Rosji dał możność zrealizowania programu bolszewików, bowiem burżuazja rosyjska, zdaniem Stalina, była bardzo słaba. Nie miała ona — cytujemy — „ani doświadczenia kombinacji politycznych i w dużym stylu **nabierania politycznego**, jak burżuazja francuska, ani szkoły **nieuczciwych kompromisów**, zawieranych z dużym rozmachem, jak burżuazja angielska.

Dlatego właśnie bolszewicy zwyciężyli, niszcząc wszystkie klasy społeczne i tworząc proletariat, dla którego i w imieniu którego wprowadzono dyktaturę i... niewolę. Podstawowym założeniem dyktatury i jej konstytucji jest stosowane w życiu hasło, że **„kto nie pracuje, ten niech też nie je“** A że dysponentem pracy jest w Związku Sowieckim państwo, a producentem i rozdzielcą wytworzonych dóbr materialnych również państwo, obywatel sowiecki, przydzielany jest w szczęśliwych wypadkach do fabryk, sowchozów i kołchozów, a w mniej szczęśliwych wypadkach wysyłany na przymusowe osiedlenie, lub skierowywany do obozów niewolniczej pracy. W tych ostatnich obywatel sowiecki mało pracuje, bo jest źle odżywiany i w myśl zasady konstytucyjnej — „kto nie pracuje, ten nie je“ — umiera z głodu.

„Krótki Kurs Historii“ W.K.P. (b) gromi i imperializm. Na grobie Lenina składał przysięgę imieniem partii Stalin, mówiąc, że nie zapomni partia o przykazaniu wodza wzmacniania i **poszerzania** Związku Sowieckiego. Przysięga została dotrzymana bo w wojnie „sprawiedliwej“ 1941-1945 Związek Sowiecki poszerzył granice swoje o kilkaset tysięcy kilometrów kwadratowych i pomnożył ludność o 25 milionów „obywateli“ wystawiając straż czerwoną nad brzegami Odry, Elby i Dunaju dla pilnowania „prawowierności“ 120 milionów Europejczyków i zagrożenia reszcie świata.

Tak wygląda teoria stalinizmu w zestawieniu z realną rzeczywistością W ten sposób stosowane są hasła bolszewickie w życiu bieżącym. Taka jest różnica między słowem i czynem.

Powstaje pytanie ilu jeszcze potrzeba lat — niewoli politycznej, pauperyzacji społeczeństw okupowanych przez Sowiety krajów, prześladowań i ogłupiania teorią „niezacofanej“ już Rosji, teorią materializmu historycznego i dialektycznego — by kraje Europy Środkowo-Wschodniej, a za nimi i reszta świata, uwierzyły w „ewangelię sowiecką“ i złożyły się na kadry inteligencji bolszewickiej?

*

Prasa sowiecka i warszawska informują, że ostatnio w Polsce rzucono na rynek księgarski sto tysięcy egzemplarzy polskiej edycji „Krótkiego Kursu Historii“ W.K.P. (b)“. Fakt ten ma swoją znaczną wymowę polityczną skoro uwzględnimy najnowsze z września 1948 r., stwierdzenie Centralnego Komitetu Partji, że w książce tej podana jest wielka nauka o roli partii proletariatu, o warunkach jej zdolności do walki i prawach rozwoju. Zademonstrowane na nieodzownych, oczywistych faktach historycznych zasady te, ustalone zostały w całej swej nieodpartej mocy, jako posiadające **znaczenie międzynarodowe i obowiązujące klasę robotniczą wszystkich krajów do chwili wykonania przez nią swego wielkiego posłannictwa międzynarodowego“.** (Bolszewik“ Nr. 17 z 1948 r.).

Rozumieć należy — do chwili wykonania przewrotu rewolucyjno-zamachowego we wszystkich krajach na rzecz Związku Sowieckiego.

Józef Kowieński

JAN WEPSIĘĆ

PRAWO WŁASNOŚCI AUTORSKIEJ

DZIWNE niekiedy anomalie dostrzega się w dziejach kultury ludzkiej. Jednym z przykładów takiej anomalii może być rozwój pojęcia własności w odniesieniu do wytworów ludzkiego umysłu.

W starożytnej Babilonii już w trzecim tysiąc leciu przed Chrystusem opisywano stan majątkowy podatnika i określono wysokość podatku. Ponieważ nie znano takich materiałów piśmiennych, jak papyrus, pergamin czy papier — dlatego te rejestry spisywano na tabliczkach glinianych pismem klinowym. Ale tym skrupulatnym ludziom obce było zupełnie pojęcie własności autorskiej. A przecież nic może bardziej nie jest własnością człowieka jak właśnie wytwór jego umysłu bez względu na to, czy nim jest: książka, utwór muzyczny, obraz, rzeźba czy fotografia.

Pojęcie to było obce nie tylko kulturze starożytnego Wschodu, ale było nieznane także i starożytności grecko-rzymskiej i Średniowieczu. Z chwilą, gdy rękopis traktatu Platona, Arystotelesa, św. Augustyna czy Tomasza z Akwinu lub tragedii Sofoklesa czy Eurypidesa, poematu Wergiliusza, Horacego, Dantego czy Chaucera dostawał się w ręce ludzkie, — dzieło stawało się własnością publiczną. Kto posiadał umiejętność pisania i kogo stać było na benedyktyńską cierpliwość przepisywania, ten mógł — bez żadnych ograniczeń — mnożyć kopie dzieł, jakie tylko wybrał ze skarbca piśmiennictwa ludzkiego.

Pierwsze książki drukowane, tzw. incunabula nie mają na odwrocie kartki tytułowej owego słowa „copyright“ lub jego połączenia ze zwrotem, który w językach różnych narodów brzmi: „proprietá letteraria riservata“, czy „Alle Rechte vom Verleger vorbehalten“, czy „Tous droits de traduction, et d'adaptation reservés pour tous pays.“

Pojęcie własności wytworów umysłu, najwcześniej w odniesieniu do książki, było zdobyczą dopiero czasów nowożytnych. Zrodziło się w Anglii, gdzie wyspiarski charakter myślenia wytworzył specjalny stosunek do tego, co „prywatne.“

The Stationers' Company, — coś w rodzaju dzisiejszego związku wydawców, powołana do życia w r. 1556 przywilejem królowej Marii, była tą instytucją, z którą ściśle wiąże się powstanie prawa własności dzieła literackiego. Myślą, która przyświecała królowej, znanej z anty protestanckiego nastawienia, było powstrzymanie napływu książek protestanckich do Anglii. Rolę cenzora miała spełniać właśnie The Stationers' Company.

Rolę cenzorską newej instytucji umiejętnie połączono z perspektywą korzyści materialnych. Na zasadzie statutu nadanego The Stationers' Company tylko ta książka mogła być drukowana, która została zarejestrowana w The Stationers' Hall. W związku z rejestracją książek wytworzył się wtedy zwyczaj, że książka stawała się wieczystą własnością tego, na czyje nazwisko została zapisana w rejestrze. W ten sposób Bunyana: „Pilgrim's Progress“ stał się własnością pondera, Miltona: „Paradise Lost“ — tonsona. Co ciekawsze — taką własnością stawały się również dzieła starożytnych klasyków.

Nabyte w drodze tego zwyczaju prawa były szanowane przez księgarzy. Znany był rónież zwyczaj sprzedaży prawa własności książki. A że eksploatowanie prawa własności książki przynosiło dochód, księgarze londyńscy nie dopuszczali księgarzy poza-londyńskich do takich sprzedaży.

Jak bardzo szanowano i jak zazdrośnie strzcżono praw własności książki, dowodzi tego długa lista ustaw, wydanych w ciągu XVI i XVII (1586, 1623, 1637, 1640, 1643, 1662, 1681, 1694), które między innymi zmierzają do zabezpieczenia nabytych praw własności. Aż do znudzenia ustawy te powtarzają, że:

1) książkę można drukować tylko wtedy, gdy uzyskała zezwolenie na jej druk w „The Stationers, Company“,
2) wydawca winien stosować się do istniejących ustaw, zabraniających drukować ksiażki przeciwne wierze: za Korony, po Marii — doktrynie Church of England, za Republiki Cromwellowskiej — kalwinizmowi
3) zabrania się przedrukowywać książek, które już stanowią czyjąś własność lub które były drukowane bez licencji.

Owe wydawane ciągle ustawy wytworzyły w końcu XVII stulecia prawdziwą dżunglę przepisów. Stan ten miała uporządkować ustawa, wydana w r. 1709, obalając wszystkie poprzednie ustawy, wprowadzająca poraz pierwszy zasadę, że prawo własności książki przysługuje autorowi, który własnością książki może rozporządzać w taki sam sposób jak własnością każdego innego przedmiotu fizycznego, ustalajaca długość okresu własności autorskiej na 14 lat od chwili druku, a w wypadku gdyby po upływie tego okresu autor jeszcze żył, przedłużająca okres własności autorskiej na dalsze 14 lat. W stosunku do dzieł już drukowanych, tj. tych które były zarejestrowane w The Stationers' Hall i które były uważane za wieczystą własność wydawców, ustawa określała własność na okres 21 lat od chwili wprowadzenia w życie ustawy z r. 1709.

Przeciw ustawie wnet podniosły się głosy niechęci ze względu na stosunkowo krótki okres 14 lat względnie 28 lat. Nawet w wypadku przedłużenia okresu do 28 lat wielu autorów już za swego życia nie miało prawa dysponowania wytworem własnego umysłu. Mimo to ustawa ta utrzymała się aż do roku 1842. Nowa ustawa wydana w tym roku ustalała okres własności autorskiej na całe życie autora + 7 lat, względnie na 42 lata, licząc od daty ukazania s książki — w zależności, który z tych dwu okresów był dłuższy.

Prawo własności autorskiej objęło swym zakresem i inne dziedziny twórczości ludzkiej. Najwcześniej bo w r. 1734 stało się to w odniesieniu do rytownictwa, znacznie później, bo dopiero w drugiej połowie XIX stulecia — w odniesieniu do utworów muzycznych, obrazów, rysunków, fotografii.

Obowiązująca dziśiaj w Angliiustaw a o prawie autorskim pochodzi z r. 1911. Obejmuje ona prawie wszystkie co dopiero wymienione dziedziny twórczości. Okres wygaśnięcia prawa własności określa na lat 50 od chwili śmierci autora.

Angielskie ustawy o prawie autorskim obejmowały również i zagadnienie dostarczania egzemplarzy obowiązkowych do bibliotek wymienionych ustawach. Już ustawa z r. 1662 nakazywała wydawcy oddawania jednego egzemplarza każdej książki do biblioteki królewskiej. Z chwilą kiedy the Old Royal Library stało się własnością British Muzeum, uważało się ono za uprawnione do otrzymywania egzemplarza obowiązkowego. W myśl ustawy z r. 1911 biblioteka B. M. ma otrzymywać egzemplarz obowięzkowy każdej książki. Inne biblioteki wymienione w tej ustawie mogą otrzymać taki egzemplarz, o ile go zapotrzebują od wydawcy. Ten obowiązek stał się głównym źródłem szybkiego rozrostu bibliotek. Biblioteka B. M. otrzymuje na tej podstawie ponad 30 000 tomów rocznie.

Za wzorem angielskim poszły i inne kraje. Konwencja berneńska z r. 1885 i berlińska z r. 1908 ujednoliciły prawo autorskie w świecie. Krajem, który nie uznaje prawa autorskiego, jest Rosja Sowiecka i częściowo, gdy nie chodzi o autorów anglosaskich Stany Zjednoczone.

Proces socjalizacji dóbr ludzkich wysunie niewątpliwie w przyszłości zagadnienie rewizji ustaw o prawie autorskim.

Należy jeszcze wspomnić o jednym nieporozumieniu, z jakim często można spotkać się a mianowicie niedotrzegamy różnic między prawem własności *autorskiej* a prawem własności *patentu.* Prawo własności autorskiej nie dotyczy idei. lecz formy, czyli konkretnego wyrażenia pewnej idei. Gdyby np. dwie książki pod względem idei były bardzo podobne do siebie, ale gdyby autor książki później drukowanej udowodnił, że jego książka powstała niezależnie, autor wcześniej wydanej książki nie ma prawa zabronić wydania książki podobnej.

Inaczej jest z patentem. Prawo dotyczy tutaj idei, pomysłu, koncepcji. Jeśli posiadający patent potrafi udowodnić, że jakiś nowy projekt zawiera się w koncepcji już istniejącego patentu, może nie zgodzić się na opatentowanie późniejszego projektu.

ŻYCIE, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE“ — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 6879. Drukarnia PAD 9734
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
Administracja czynna: od 14 do 17 codziennie od godz. 9 do 13
z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/- **Wszelkie wpłaty:** przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed“ i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press“
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.